

WIAS



TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 8 - 15 sierpnia 1948 r. Nr 32-33 (161-162)

W NUMERZE

między innymi:

- L. Bazyłow — Przed Zjazdem Historyków we Wrocławiu
- Z. Nałkowska — Ze „Zwierzeń“
- L. Sobierajski — Z Wystawy Wrocławskiej — o reportażu
- A. Kamińska — „Inteligent chłopski“ — bez dogmatu!
- W. Strzemiński — Obraz Łodzi kapitalistycznej
- E. Małanczówna, J. Pierchała, T. Urgacz — Wiersze
- A. Olechnowicz — Oto wieś!
- J. Faleńciak — Rezerwy

Seweryn Wysłouch

Wystawa Historyczna Ziem Odzyskanych

W najbliższych numerach „Wsi“ ukaże się cykl artykułów, poświęconych historycznym, ekonomicznym i kulturalnym problemom Ziem Odzyskanych.

Cykl rozpoczyna szereg artykułów Profesora Uniwersytetu Wrocławskiego Prof. Dra Seweryna Wysłoucha, który, jako Pełnomocnik Rządu, przy współdziałaniu profesorów Uniwersytetu Wrocławskiego, zorganizował Wystawę Historyczną Ziem Odzyskanych.

REDAKCJA

Wystawa Historyczna Ziem Odzyskanych, w ramach ogólnej Wystawy Ziem Odzyskanych we Wrocławiu, została zorganizowana przez grono pracowników naukowych pod kierunkiem profesorów Uniwersytetu Wrocławskiego. Ma ona za zadanie przedstawienie dziejów Ziem Odzyskanych oraz ludności polskiej odwiecznie je zamieszkującej.

Zadanie trudne, zważywszy na szczupłość miejsca i wielość tematów, jakie winny były być tu poruszone. Znaczną trudność stanowi ponadto fakt, że losy polskości na Ziemiach Odzyskanych to temat dotychczas bardzo słabo opracowany w nauce polskiej. Na upośledzenie badań w zakresie dziejów polskości w dużej mierze złożyło się: brak dostępu do materiałów źródłowych, zazdrośne strzeżonych w niemieckich archiwach, oraz wybitne tendencyjne charakter prac uczonych niemieckich, zaświecających dzieje wschodnich prowincji Niemiec pod kątem widzenia interesów narodowych i politycznych niemieckiej racji stanu.

Zadanie więc wystawy wrocławskiej to nie tylko syntetyczne zestawienie dotychczasowych wiadomości o tych ziemiach, ale w dużym stopniu samodzielne prace badawcze, odkrywające nowe, prawie całkowicie nieznane karty historii polskości pod zaborem pruskim.

W tych warunkach organizatorzy Wystawy Historycznej Z. O. musieli się ograniczyć do wskazania pewnych zasadniczych linii rozwojowych w życiu Polaków pod panowaniem pruskim, rezygnując z możliwości bardziej analitycznego przedstawienia poszczególnych zagadnień.

Do zagadnień najbardziej znanych należą dzieje polityczne Ziem Odzyskanych. Proces ekspansji niemieckiej na wschód, próby odcięcia Polski od morza, zaciskanie się kleszczy niemieckich dookoła Polski, wynikłe stąd wieloletnie zmagania o dostęp do morza, wreszcie rozbiory Polski i najdalszy zasięg niemieckiego pochodu na wschód — to fakty nie budzące wątpliwości w nauce polskiej.

Inaczej wygląda sprawa całokształtu życia polskiego na Śląsku i Pomorzu pod władztwem niemieckim. Te zagadnienia są na ogół mało znane, zwłaszcza w szerszych kołach społeczeństwa polskiego.

Nie zdajemy sobie sprawy, jak naprawdę bujne i bogate było życie polskie na Ziemiach Odzyskanych i to nie tylko w średniowieczu, kiedy Śląsk stał się jednym z głównych ośrodków kultury artystycznej, umysłowej i politycznej Polski, ale i później kiedy to pod obcym panowaniem polskość nie zamarała, odwrotnie utrzymywała bliskie węzły kulturalne, gospodarcze i umysłowe z Macierzą i kiedy wybitni synowie Śląska i Pomorza rozslawiali w świecie imię Polski swymi pracami i odkryciami naukowymi i artystycznymi.

Przedstawienie i wykazanie przy pomocy licznych zdjęć fotograficznych kultury artystycznej wspaniałych budowli fundowanych i wznoszonych przez polskich budowniczych i rzemieślników na całym terenie Ziem Odzyskanych, często opartych o wzory budownictwa Polski centralnej — to jedno z zadań Wrocławskiej Wystawy Historycznej.

Niemniejże znaczenie ma wykazanie, jak żywe więzy łączyły życie umysłowe Śląska i Pomorza z Macierzą, jak często słowo i druk polski z Ziem Odzyskanych promie-



Ołtarz św. Łukasza z kościoła Marii Magdaleny we Wrocławiu, wykonany wg ryciny Wita Stwosza

nowały na całą Polskę zarówno w wieku XIII jak i XVI — XVII. Łączność umysłową może najdobitniej ilustruje mapa zasięgu Uniwersytetu Jagiellońskiego w XV w., kiedy to wśród studentów krakowskich widzimy liczne rzesze młodzieży ze wszystkich ośrodków Ziem Odzyskanych.

Niemniejże znaczenie mają więzy gospodarcze: dobrobyt Gdańska wyrósł na eksporcie zboża polskiego, rozwój handlowy Wrocławia na jego udziale w wielkim handlu tranzytowym z Krakowem i innymi miastami Polski. Żywy kontakt handlowy sprowadzał kupców Ziem Odzyskanych do Polski i odwrotnie — roily się miasta Śląska i Pomorza od gości z Macierzy. Wzajemne zaś stosunki wymienne ponad granicami politycznymi utwierdzały związki i łączność ogólnonarodową Polaków.

Mimo niewątpliwie bardzo ciekawą problematykę życia polskiego na Ziemiach Odzyskanych we wczesnym i późnym średniowieczu, na czoło Wrocławskiej Wystawy Historycznej wysuwa się okres ostatnich lat dwustu.

W pierwszej połowie XVIII w. zostały położone podwaliny pod gmach pruskiego imperializmu. Okres ten ineljuje budowniczy nowoczesnego państwa pruskiego — Fryderyk II. Z momentem wcielenia Śląska w 1742 roku rozpoczyna się z całą premedytacją prowadzony proces eksterminacji żywiołu polskiego na obszarach państwa pruskiego. Hasło germanizacji bez oglądania się na środki staje się kamieniem węgielnym całej polityki Berlina w stosunku do Polaków przez okres lat dwustu.

Dzieje tego okresu to niewątpliwie najmniej znany fragment dziejów Polski. Stąd organizatorzy Wystawy Wrocławskiej ześrodkowali maksimum wysiłku, by wypełnić istniejące luki w literaturze naukowej polskiej i by pokazać, jak konsekwentna i nieublagana w środkach była polityka pruskiego imperializmu i jak nieprawdopodobnie odporna była postawa ludu polskiego, który osamotniony, pozbawiony swej inteligencji, całkowicie podporządkowany wielkim obszarnikom i kapitalistom niemieckim, bronił zacięcie swej pol-

skości i trwał, by po latach dwustu w znacznie wprawdzie zmniejszonej liczbie doczekać powrotu do Macierzy.

Bohaterem tego okresu są bezimienne masy polskich robotników i chłopów, które o polskość walczyły, gnęły i zwyciężyły, mimo że pozostawione same sobie, skazane były na całkowitą zagładę.

Dzieje tej walki Wystawa Wrocławska umiejscawia w ramy chronologiczne. W pierwszej części zostały zgromadzone edykty i rozporządzenia germanizacyjne Fryderyka II i Fryderyka Wilhelma oraz znaczna ilość materiałów archiwalnych, ilustrujących metody wprowadzania ich w życie.

Znany edykt Fryderyka II z dn. 8. VI. 1764 r. ineljuje plan germanizacji ludności polskiej bezceremonialnie stanowiąc: „Ponieważ usilnie pragniemy, aby w tych okolicach i miejscowościach, gdzie podwładni władają tylko językiem polskim (cały Śląsk Górny i większość Śląska Dolnego), język niemiecki coraz więcej się rozpowszechniał...“ aby:

„1) żadne dominium pod karą 10 tal. za wypadek wykroczenia nie odważyło się od dzisiejszego dnia ze swoich poddanych obojej płci przyjmować kogokolwiek za służących lub za czeladź folwarczną, który by po niemiecku nie rozumiał; 2) żadnej dziewczynki, która 16 roku jęszcze nie ukończyła, nie wolno z ogłoszeniem tego rozporządzenia udzielić zezwolenia na małżeństwo, dopóki po niemiecku się nie nauczy; 3) podwładnemu płci męskiej, który nie ukończył 20 roku życia nie należy również udzielić pozwolenia na ożenienie się, dopóki się po niemiecku nie nauczy...“

W cyrkularzu z dn. 24. V. 1764 r. Fryderyk II stwierdza: „z największym niezadowolaniem dowiedzieliśmy się, że na Śląsku we wsłach, w okolicach całkowicie polskich są zatrudnieni nauczyciele nie będący w stanie nauczać języka niemieckiego, tak, że młodzież wzrasta jak bydło“.

Stąd cały aparat urzędniczy, szkolny i duchowny musi się podporządkować zasadom polityki germanizacyjnej. Polacy winni być ze wszystkich stanowisk usunięci, by nie mogli oddziaływać na masę ludową.

Niewiele się różnią rozporządzenia Fryderyka Wilhelma. W dn. 30. IV. 1789 r., a więc w okresie t. zw. przymierza polsko-pruskiego czasu sejmu czteroletniego, nakazuje on Konsystorzowi we Wrocławiu: „uważamy za konieczne zniesienie języka polskiego i wprowadzenie niemieckiego na całym Śląsku i że od tej chwili nie należy dopuścić nikogo do nauki religii i do św. komunii, kto nie posiada pewnej biegłości w języku niemieckim...“

Postanowienia edyktów królewskich nie były tylko pogroźkami. Zachowane przekazy źródłowe stwierdzają, że były one wprowadzane w życie i że spotykały się już wówczas ze zdecydowanym oporem ludności polskiej.

Zdecydowana postawa chłopów w walce z uciskiem socjalnym i narodowym doprowadzała niejednokrotnie do wybuchu t. zw. buntów chłopskich, surowo uśmierczanych przez władze pruskie. Tak np. w 1765 r. przyszło z powodu ucisku do znanego wielkiego buntu chłopów pod Głupczycami przeciw panom; całe wsie poszły w lasy, a chłopci starali się także zbuntować swoich towarzyszy niedoli w powiatach: bytomskim, toszeckim i pszczyńskim.

Wypadki czynnego oporu zdarzały się częściej, o czym świadczy rozporządzenie królewskie z 7. XII. 1775 r. normujące kary, na jakie poddani buntujący się przeciw dziedzicom mieli być skazywani. Mimo to w 1780 r. wybuchają rozruchy chłopskie przeciw panom na Górnym Śląsku, zaś w 1785 r. w kluczu odmuchowskim i powiecie waibrzyjskim powstały groźne bunty, które trzeba było uśmierzać wojskiem, karami cielesnymi i więzieniem.

Wypadki czynnego oporu i buntów chłopskich przeciwko uciskowi niemieckich ob-

WARSZAWA 8 - 14 SIERPNIA

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA
MŁODZIEŻY PRACUJĄCEJ

WROCŁAW 25 - 28 SIERPNIA

ŚWIATOWY KONGRES INTELEKTUALISTÓW
W OBRONIE POKOJU

Dni 17/102

szarników, to reakcja ludzi doprowadzonych do ostateczności. Natomiast o wiele bardziej charakterystyczny jest upór i walka, jaką toczy ludność Ziemi Odrzyńskich o zachowanie języka polskiego. Występuje to zwłaszcza jaszkrawo w walce o język nabożeństw w kościołach ewangelickich na Dolnym Śląsku.

Licznie zachowane raporty pastorów do władz konsystorskich we Wrocławiu wprowadzają nas w zupełnie nieznaną świat tragedii przeżywaną przez ludność polską na tle akcji germanizacyjnej władz pruskich w kościele. Bowiernie zgodnie z rozporządzeniami rządu pruskiego „kościół i szkoła muszą działać równocześnie i wspólnie, także jeśli idzie o rozpowszechnianie języka niemieckiego”.

Obok kościoła i szkoły akcji germanizacyjnej służyli przede wszystkim niemieccy obszarnicy. Zasługę ich na tym polu podkreśla pastor König w raporcie do rządu z dn. 5. X. 1835 r. „Kościół i szkoła mogą działać wiele dla rozszerzenia języka niemieckiego i wyparcia języka polskiego, ale nie wszystko. Część najważniejszą mogą spełnić właściciele majątków ziemskich, jeżeli sami nie rozumieją języka polskiego, będą angażowali takich wójtów, urzędników i t. p., którzy nie rozumieją po polsku i będą popierali robotników, mówiących po niemiecku. W sąsiednich powiatach, szcze-

gólnie w oleśnickim (pod Wrocławiem) takie postępowanie działo więcej niż nabożeństwa i nauka szkolna”.

Bezwzględne zarządzenia germanizacyjne w kościele budziły opór wśród światlejszego duchowieństwa ewangelickiego. Świadczy o tym sprawozdanie pastora Michaelisa z Oleśnicy do rządu z dn. 29. IX. 1835. Wystraszony je zacytował jako bardzo charakterystyczne: „mężczyźni, którzy wychodzą więcej w świat rozumieją po niemiecku, ale nie kobiety. W domu mówią się i modlą się wyłącznie po polsku. Spotkałem w szkole dzieci, które wprawdzie dostatecznie czytały po niemiecku, ale nie rozumiały mnie, gdy pytałem je o ich wiek... Dlatego też ludzie prawie że oblegali mnie z prośbami do królewskiego rządu.

Naczelnicy wsi rzucili się grafowi do nóg i oświadczyli, że we wszystkich domach jest tylko płacz i narzekanie z powodu utracenia przez nich polskich nabożeństw.

Następnego dnia cała masa kobiet... prosiła mnie z obfitymi łzami w oczach, abym ja prosił w ich imieniu...”

Zmiękczony łzami kobiet pastor Michaelis wnosi o pozostawienie nabożeństw polskich w Oleśnicy jeszcze na lat kilka.

Również superintendent Jany ze Strzelina w raporcie z 1822 r. stwierdza: „Lubie-

(pow. brzeski, D. Śląsk) jest gminą prawie całkowicie polską i mało kto rozumie choćby słowo po niemiecku... Byłoby naprawdę niedopowiedzialnym okrucieństwem tak wielką liczbę ludzi pozostawić bez nauki, kazań i pociechy w ich mowie ojczystej, którą oni tylko i jedynie rozumieją”, lub pastor Moldy „przez bezwzględne przeprowadzenie najnowszych rozporządzeń germanizacyjnych nauka religii przekształciła się w bezduszną tresurę języka niemieckiego.”

Nie brak i oryginalnych petycji składanych przez ludność do władz o zachowanie polskich nabożeństw.

Z braku miejsca zacytuje tylko jedno z pow. Oławskiego z 16. III. 1811 roku do miejscowego pastora: „Z głęboko ścisłym sercem przedkładamy Panu nasze skargi. Nie przypuszczaliśmy, że Pan nie będzie nam odprowadzał nabożeństw polskich, a tylko zawsze cieszyliśmy się tym, że u nas pozostanie jeszcze tak, jak to było za naszych przodków. Gdy ogłosił nam Pan z ambony, że nie będzie tutaj nabożeństw polskich, przestraszyło nas to tak bardzo i poruszyło do tego stopnia, że Pański kościół, do którego tak chętnie chodziliśmy opuściliśmy z gorzkimi łzami. Czy jest to Pańska wola, że musimy się rozłączyć z tym kościołem, do którego należeli nasi ojcowie i praojcowie? Będzie to dla nas

bardzo ciężkie, ale będziemy do tego zmuszeni, jeżeli nie będzie dłużej nabożeństw polskich...”

Petycje tego rodzaju można mnożyć, a wszystkie one stwierdzają, jaki zdecydowany opór stawiała ludność polska akcji germanizacyjnej. Oczywiście skutecznie bezwzględnej polityki germanizacyjnej zrobiło swoje.

Pod uderzeniami pruskiej szkoły, administracji, kościoła, obszarników i kapitałów kurczył się polski obszar językowy, coraz bardziej spychany na wschód, za Odrę. Mimo to lud polski w walce nie ustawał i w masie swej przetrwał lata najbezradziejniejszego osamotnienia 1742—1848.

Wiosna Ludów obudziła w ludzie polskim nadzieję na lepszą przyszłość.

Stąd żywy oddźwięk hasła wolnościowych wśród ludu polskiego Śląska i Pomorza. Rok 1848 to równocześnie przełom do nowego okresu. Łączy się ten okres z t. zw. Odrodzeniem Narodowym o wielkopomnym znaczeniu dla dziejów polskości Ziemi Odrzyńskich.

Wystawa Wrocławska Wiosny Ludów i Odrodzeniu Narodowemu poświęca dużo miejsca ze względu na szczególne znaczenie tego okresu w dziejach polskości na Śląsku i Pomorzu.

Seweryn Wystouch
(c. d. n.)

Ludwik Bazylow

Przed Zjazdem Historyków we Wrocławiu

W DNIACH 19—22 września 1948 r. zbiorą się we Wrocławiu przedstawiciele polskiej nauki historycznej, by po raz siódmy publicznie przedyskutować najbardziej obecnie żywotne i aktualne zagadnienia z zakresu dziejów Polski. Z sześciu poprzednich zjazdów trzy odbyły się jeszcze przed pierwszą wojną światową (pierwszy w Krakowie w r. 1884), trzy zaś w okresie międzywojennym, w 1925 w Poznaniu, w 1930 w Warszawie i w 1935 w Wilnie. Dzieje polskich zjazdów historycznych liczą zatem lat z górą sześćdziesiąt. Nie należy jednak sądzić, że pomimo tego długiego okresu oraz dość równomiernych odstępów czasowych pomiędzy poszczególnymi zjazdami, łączyły się one stale jakąś jednolitą ideą przewodnią; było nią co najwyżej stałe aktualizowanie tematyki referatów zjazdowych, słusze zresztą i nieodzowne. Inne kwestie zaprzętały bez wątpienia historyków polskich przed pierwszą wojną światową, inne zagadnienia wysunęły się na czoło zainteresowań w dobie międzywojennej. Dlatego też rezultaty obrad każdego zjazdu są całością pod pewnym względem zamkniętą, stanowiąc z jednej strony skonkrešowany zarys dorobku historycznego z okresu między zjazdem bieżącym a poprzednim, z drugiej zaś wykładnik tego, co w danej chwili uważano za aktualne i umieszczano na pierwszym planie.

Wszystkie niemal dotychczasowe zjazdy w sposób trochę schematyczny i nie zawsze całkiem naturalny nawiązywały do różnych jubileuszów i rocznic. Tak więc obrady zjazdu wileńskiego z r. 1935 obracały się głównie dookoła stosunków polsko - litewskich w przeszłości, przy czym za punkt wyjścia wzięto pięćsetną rocznicę bitwy pod Wilkomierzem nad rzeką Świętą, gdzie rozgromieni zostali przeciwnicy unii polsko - litewskiej. Bitwa nad Świętą była zatem triumfem idei jagiellońskiej, pojętej jako koncepcja utworzenia jednolitego państwa polsko - litewskiego. Ten problem stanowił podówczas trzon tematyki obrad zjazdu. Wątpliwe, czy spodziewał się ktoś wtedy, że już po kilku latach ukażą się w tak tragicznym świetle fakty, które pod niejednym względem doprowadzić będzie można właśnie do jagiellońskiej ekspansji na wschód, ekspansji o kilkusetletnim wprawdzie efekcie — lecz bez treści i znaczenia dzisiaj. Dopiero najnowsze badania wykazują i w najbliższej przyszłości prawdopodobnie w stopniu jeszcze intensywniejszym wykażą wszystkie aspekty, właściwy całokształt polityki jagiellońskiej, nie pozbawionej poważnych błędów, jeśli chodzi o sferę jej zainteresowań wschodem, lecz przy tym poszczycić się mogącej wieloma elementami pozytywnymi, zwłaszcza wobec zagadnień zachodnich.

Obecny Zjazd Historyków Polskich we Wrocławiu staje nie tylko wobec tradycyjnej konieczności przedstawienia i przedyskutowania kilkudziesięciu tematów, o bardzo wybitnym, podobnie jak i poprzednio, wydźwięku aktualnym; staje również wobec nowej rzeczywistości dziejowej, która kształtować będzie odtąd całe nasze życie kulturalne. W ogniu drugiej wojny światowej zapałał pewnym blaskiem momenty, na które przedtem mało zwracano uwagi, pewne natomiast koncepcje przepadły bezpowrotnie. Jeśli dzieje rozwoju społeczeństw są rzeczywiście korelatem otaczającej je, uchwytnej i zmiennej rzeczywistości, to możemy się przecieć pocieszyć, że błędy, jakie czasem w osadzie dziejów popełniamy, nie zawsze muszą być naszą winą; niejednokrotnie właśnie dzięki takim a nie innym warunkom wyciągamy wnioski wręcz odmienne od tych, które należało wy-

prowadzić. Prawdziwy postęp naszej nauki polegać może tylko na nieustannej konfrontacji naszych sądów z tą rzeczywistością, w tym wypadku z rzeczywistością minioną. Zdaje się, że pod tym względem można będzie horyzontom naszej obecnej nauki historycznej zarzucić mniej, niż kiedykolwiek. W tym krótkim okresie, jaki upłynął od zakończenia działań wojennych, pojawiło się także mnóstwo prac historycznych o tematyce tak różnorodnej, że obfitość tę przypisać chyba należy nie tylko normalnie po każdej wojnie następującej epoce lat tłustych; nie ulega wątpliwości, że przełomowy okres, w jakim żyjemy obecnie, nie odzwierciedla się wyłącznie w unarodowieniu przemysłu i w upowszechnieniu kultury; miejmy nadzieję, że pewien przełom dokona się również w gabinetach uczonych, którzy do wyścigu o dalsze kształtowanie naszej nowej rzeczywistości wystartują z nową po części problematyką; postawić jej będzie trzeba jeszcze pewnie bardzo wiele zarzutów, ale należy wierzyć, że oredownicy jej nie będą ostatni na mecie.

Zjazd obradować będzie w 5 sekcjach. Pierwsza zajmie się dziejami Śląska i Wielkiego Pomorza, druga — dziejami Słowiańszczyzny, trzecia — Wiosna Ludów, czwarta — geneza współczesnego społeczeństwa i państwa polskiego, piąta — polską nauką historyczną po drugiej wojnie światowej. Podział na sekcje wydaje się słuszny i jeżeli chodzi o całokształt pierwszoplanowych obecnie zagadnień, o to, czego współczesne społeczeństwo polskie rzeczywiście potrzebuje i od historyków oczekuje — wyczerpujący. Ustalona już niemal tematyka obrad poszczególnych sekcji potwierdza to przypuszczenie. Wiekowa

rywalizacja Polski i Niemiec na terenie naszych obecnych prowincji zachodnich zakończyła się ostatecznie całkowitym rozgromieniem tysiącletniego agresora i pełnym triumfem pierwotnej i jedynie realnej koncepcji piastowskiej. Zbyt ciężkie były jednak zmaganie i zbyt skomplikowane stosunki polsko - niemieckie podczas dziesięciu ubiegłych wieków, ażeby można było przejść na tym odcinku nowej rzeczywistości do porządku dziennego bez drobiazgowej, sumiennej i metodologicznie nieskazitelnej analizy tego nawału problemów. Zbyt wiele włożyliśmy w nasze ziemie zachodnie w przeszłości, ażeby przyjąć stan obecny tylko jako rezultat szczęśliwie zakończonej wojny, lub co gorsza, jako cud. Potrzeba nam dokładnego obrazu wszystkich faktów i przemian. W dwudziestu referatach, począwszy od zarysu struktury geograficzno - historycznej polskiej granicy zachodniej, poprzez charakterystykę form przenikania niemieczyzny na ziemie polskie, zagadnienie polityki krzyżackiej, kolonizacyjnej, polskości na Śląsku, poprzez obrazy ruchów narodowych, stosunków wyznaniowych i kulturalnych, aż do problemów politycznych na przełomie w XIX i XX — przedstawione zostaną rezultaty dotychczasowych wysiłków uczonych polskich i co jeszcze ważniejsze — perspektywy dalszej rozbudowy tych badań.

Posiedzenia sekcji poświęconej dzieciom Słowiańszczyzny wprowadzą nas w problematykę, przechodzącą obecnie swój pełny a tak zasłużony renesans. Zasadnicze znaczenie należałoby tu przyznać referatom, których autorzy sprecyzują dzieje stosunków kulturalnych polsko - rosyjskich i polsko - czeskich, przy czym uwzględnione będą również

stosunki rewolucjonistów polskich z rosyjskimi. Konieczność oparcia się Polski o państwa słowiańskie w obecnej konstelacji politycznej Europy nie ulega już chyba dla nikogo wątpliwości. Rozwój stosunków Polski z resztą Słowiańszczyzny pojmowano natomiast często opacznie, a mnogość wątpliwości, jakie łączyły nas z państwami słowiańskimi w przeszłości, aż zadziwiająca po prostu, domaga się jak najpełniejszego wydobycia na światło dzienne. I tu więc obrady Zjazdu przyniosą w pełni materiał konkretnie potrzebny.

Referaty sekcji roku 1848 scharakteryzują polski dorobek rewolucyjny w tym najważniejszym bodaj dla dziewiętnastowiecznej Europy okresie, kiedy to po raz pierwszy obok burżuazji wystąpiła klasa robotnicza, jako czynny motor rewolucji. Niezwykle ciekawe powinny być dane, dotyczące ówczesnych wypadków w Poznańskim i na Śląsku oraz charakterystyka stosunków, jakie łączyły Polaków z innymi Słowianami i zapatrywań twórców socjalizmu naukowego na sprawę polską. Referaty sekcji czwartej zaznajamia nas z problemem genezy współczesnego społeczeństwa polskiego, przy czym specjalny nacisk położony będzie na kwestię robotniczą i chłopską w Polsce w w. XIX i XX oraz na początki socjalizmu w Królestwie Polskim i w Galicji. Tematem obrad sekcji piątej wreszcie będą zagadnienia natury teoretycznej i metodologicznej. Wbrew utartemu mniemaniu, rozważania teoretyczne powinny być w tym wypadku bodajże najbardziej interesujące, nie tylko ze względu na sugestywność niektórych tematów, jak „Rola kultury historycznej w dobie przebudowy ustroju społecznego”, lub „Uwarunkowanie społeczne faktów historycznych i ich oceny”, lecz i dlatego, że pewne tematy zjawiają się w ogóle po raz pierwszy w historii wszystkich zjazdów, jak np. „Zagadnienie materializmu historycznego i potrzeba polskiego dziejopisarstwa”. Pozwalałoby to wysnuwać najlepsze prognozy na przyszłość, jeśli chodzi o polską naukę historyczną, która wydaje się zrywać wreszcie na pewnych odcinkach z koncepcją izolacji metodologicznej.

Tematyka Zjazdu dowodzi zatem wystarczająco zbędności nauki historycznej z życiem i łączności ze społeczeństwem, z tym społeczeństwem, które stało (oraz wobec konieczności zrozumienia zagadnień zachodnich i słowiańskich i musi czepać swoje siły od tych, którzy w jego imieniu bronili przed stu laty postępu ludzkości. Pościele postępu jednakże zmienia się, podobnie jak wszystkie elementy rzeczywistości. Nie wszystko, co było postępcem w roku 1848, jest postępcem dzisiaj.

Polska myśl historyczna, abstrahując od jej szerokiego horyzontów i wszechstronnego rozwoju, miała, niestety, często tendencję do faworyzowania tych wstecznych właśnie sformułowań i nie zawsze dotrzymywała kroku dokonującej się dookoła niej ewolucji. Wolno przypuszczać, że Zjazd Wrocłowski stanowić będzie właśnie moment pod pewnym względem przełomowy.

I nie trzeba do tego zrewolucjonizowania wszystkich poglądów lub ograniczenia wolności badań naukowych. Wystarczy, jeśli nauka dążyć będzie do prawdy jasną i prostą drogą, a wyzbedzie się wszelkiego irracjonalizmu i mistyki. Niestety, pomylił się ów minister, który przed osiemnastu laty podczas otwarcia Zjazdu Historyków w Warszawie zwrócił się do nich z apelem, ażeby wychowując młode pokolenie, działał nie tylko na umysł, lecz i na serce, bo „tylko uczucie nie podlega dyskusji”. Historia ma niewiele wspólnego z sercem.



Wystawy Wrocławskiej

Leonard Sobierajski

Z WYSTAWY WROCLAWSKIEJ — O REPORTAZU

(List otwarty do Eugeniusza Szpra, Wice-ministra Przemysłu i Handlu)

Obywatelu Ministrze!

PRAGNĘ dziś Panu przypomnieć Zjazd Pisarzy Chłopskich w Rytwianach w roku ubiegłym, pragnę przypomnieć atmosferę, w jakiej znaleźli się uczestnicy Zjazdu po wysłuchaniu Pańskiego referatu. Była to atmosfera entuzjazmu. Pokazał nam Pan istotny sens dokonującej się rewolucji gospodarczej w nowej Polsce, unaoocnił kolosalny wysiłek, jaki już został dokonany przez ludzi nowego ustroju w dziedzinie naszej odbudowy gospodarczej. Wzruszeni byli nasi starzy pisarze ludowi — Piotr Stopczyk, stary chłop ale i robotnik, zahaczający w latach młodości o przemysł łódzki, Maciej Czula, chłop ale odbijający się już jako dwudziestoletni chłopak do wielkich niemieckich zakładach pracy, był wzruszony również i Józef Kapuściński, entuzjasta wszystkiego co ludowe, co z chłopskiej i wsiowej dumy pochodzi, wzruszony był ten nasz stary ludowy liberał, a cóż mówić dopiero o nas — młodych chłopskich intelektualistach.

To, co od Pana usłyszeliśmy, Panie Ministrze, nakładało na nas, pisarzy, pewne zobowiązania. W końcowej partii swego referatu powiedział Pan: „Chce zwrócić uwagę na to, że aby wiedzieć lepiej rozumieć... ewolucję gospodarstwa, zachodzącą w Polsce, wy pisarze chłopscy musicie o tym pisać. Skarżą się inżynierowie i robotnicy, że o ich pracy się nie pisze”. Powiedział Pan dalej: „trzeba umieć pewne problemy przedstawić tak chłopu na wsi, jak i robotnikowi w fabryce... czas już doirzał... byśmy znali podstawy zagadnień polityczno-gospodarczych. Nie będzie w tym ani krzty przesady, jeżeli powiem, że jest to kwestia najważniejsza”. Postulował Pan dalej, by pisarstwo nasze było proste i zrozumiałe. Powiedział Pan, że „narod pod tym względem liczy na pisarzy chłopskich”.

Stanął przed nami jasno problem. Zdawali sobie sprawę, że pisanie proste i zrozumiałe wymaga spełnienia podstawowego warunku: „byśmy znali podstawy zagadnień polityczno-gospodarczych”. Było dla nas rzeczą oczywistą, że zagadnienie to nie przedstawia się łatwo, właśnie dla młodych pisarzy narodu, który wytworzył historyczną warstwę inteligencji o antytechnicznym nastawieniu, warstwę inteligencji wyrosłej w tradycjach idealistycznej teorii kultury. Udowodniła nam to książka profesora Chałasińskiego: „Genealogia inteligencji polskiej”, udowodnił nam to referat Jana Aleksandra Króla: „Inteligentne getto chłopskie”.

Po dwóch tygodniach od zakończenia Zjazdu grupa pisarzy zespołu „Wsi” znalazła się na szlaku: Bytom — Zabrze — Gliwice — Łabędy, Wrocław — Opole, Wałbrzych — Jelenia Góra. W grupie znaleźli się młodzi prozaicy, poeci, krytycy literaccy. Jako cel wycieczki postawiliśmy sobie — przyrzec się procesowi odbudowy naszego przemysłu na Ziemiach Odzyskanych — oczywista z konsekwencjami pisarskimi. Spodziewaliśmy się, że owocem wycieczki będzie szereg reportażów, które by spełniły postulat, zawarty w Pańskim, Obywatelu Ministrze, referacie rytwiańskim. Z góry, apriorycznie ustaliliśmy pewną metodę pracy. Można by to ująć w kilku punktach: obejrzeć zakłady pracy, ustalić stopień ich odbudowy, przyrzec się procesowi produkcji, no i przede wszystkim dojrzeć człowieka, dojrzeć robotnika. Była to rzeczywistość dla nas pisarzy chłopskich nieznaną, i z autopsji, i nie znana z doświadczeń literackich. Gdy znaleźliśmy się „w terenie” zaskoczyło nas jedno: huty, kopalnie, wielkie zakłady metalowe, fabryki włókiennicze — okazały się przedmiotem niesłychanie skomplikowanym mogliśmy doświadczyć tu na własnej skórze, co znaczy filozoficzny termin Leona Chwistka: „wielkość rzeczywistości”. Stanęliśmy wobec skłębionych problemów, domagających się jakiejś ostrej selekcji, jakiegoś precyzyjnego ustawienia. Od razu w pierwszej chwili zatarły się przed nami perspektywy. Postawieni wobec nowego zadania z lękiem stwierdziliśmy, że sprawę można by rozegrać tylko w wypadku posiadania określonego systemu literackiego widzenia tej nowej rzeczywistości. A jak dotychczas nie mieliśmy żadnych jasnych dyrektyw jak pisać, jak selekcjonować materiał, jak organizować ten ogrom wrażeń, spadających na oglądającego.

Czuliśmy, że dostaliśmy się na teren upartej walki o plan gospodarczy. Przez Śląsk Górny i Dolny przebiegała już fala współzawodnictwa Radość z odbudowy, radość z uruchomienia warsztatów pracy była już poza robotnikami i inżynierem. Oglądaliśmy kopalnię „Bytom”, która akurat święciła dzień zwycięstwa sztandaru pracy za przekroczenie norm wydobycia w miesiącu lipcu. Dowiadaliśmy się, że robotnik huty „Kościszko” na kłęczkach przysięgał, że załoga jego zakładu nie pozwoli wyrwać sobie z rąk zdobytego również sztandaru pracy. Widzieliśmy jak huta „Julia” boryka się z kolosalnymi trudnościami odbudowy, braku robotnika fachowego. Przy stanie zatrudnienia około 5 tysięcy osób, za dwa ostatnie lata był tu przepływ ludzki do trzydziestu pięciu tysięcy. Brak mieszkań, Dyrektor naczelny mówił mi: „Angażuje człowieka, gwarantując mu, że dam mu mieszkanie, z góry wiem, że obietnicy nie dotrzymam, ale zdobywam przynajmniej trzy miesiące pracy tego człowieka dla

swojej huty. Nieuczciwość, tak, ale cóż mam zrobić — potrzebuję robotników dla wykonania planu, a mam niedostateczne kredyty na odbudowę domów mieszkalnych. Nie mogę stanąć ze swoim zakładem do współzawodnictwa: jeden z wielkich pieców w odbudowie, koksownia — największa w Polsce wskutek rabunkowej gospodarki Niemców w czasie wojny, musi pracować teraz z największą ostrożnością, ciągle zatrzymujemy produkcję dla remontów”. W kopalni „Bytom” oglądaliśmy nowoczesną płuczkę — ogromne wielopiętrowe urządzenie o skłębionym wyglądzie rur, przetaków, dziwnych instalacji, po prostu dla nas „abrakadabra”. Pilnuje tego młody, prosty robotnik. Ze swobodą i nonchalancją tłumaczy nam działanie tej apokaliptycznej aparatury, Panie nad przedmiotem znakomicie, z dumą wspomina, że i on w to coś włożył, mianowicie wynalazł własny, z surowca dostępnego na miejscu, izolator, spajający jakieś dwa przewody w skomplikowanym systemie płuczek.

Ticzą się na nas różne momenty. W Łabędach gdzie zastaliśmy hutę w odbudowie, gdzie jednak już produkcja idzie, w warsztatach stała imponująca konstrukcja mostowa, a

na potężnych lewarach rysował się ostrą stałą maszyną linią wysokiego napięcia — mechanik, autochton z warsztatów reparacyjnych mówi mi: „Cieszymy się, że już produkcja ruszyła, ale redaktorze, koniecznie poprawy dla nas. Ja Kocham swój zawód, wystarczy mi, że o suchym chlebie stoję przy obrabiarkach, ale mam dzieci, chciałbym im dać mleka i tłuszczu”. Cóż mogłem odpowiedzieć, każde zdanie krzychałoby obrzydliwą, dziennikarską sztafą. Oh, Ministrze! proszę mi wybaczyć melodramatyczny akcent, ale czułem wówczas „nóż w sercu”. To było rok temu. Huta „Łabędy” cały swój wysiłek skoncentrowała na pierwszym etapie odbudowy, nie miała jeszcze żłobka, nie miała przedszkola, a przecież oglądałem te wspaniałe urządzenia wszędzie indziej. Trudno jednak było mówić o tym z moim interlokutorem, on potrzebował już zaraz, natychmiast — kochał swoje dzieci.

W wrocławskim „Pafawagu” gawędziłem przy obrabiarkach z młodymi, zdolnymi majstrami. Czuli się, że są patriotami zakładu, że całkowicie są w jego sprawie zaangażowani. „Rozumiem — mówił jeden — naszą trudną sytuację ekonomiczną, rozumiem, dlaczego prywatny przedsiębiorca dałby mi większe

uposażenie, nie przejdę do niego, zostanie w Pafawagu, bo to jest właśnie mój Pafawag, byłem tu od momentu, gdy zakłady przedstawiały jedną wielką kupę gruzów, śmieci i pogiętych konstrukcji maszyn — nie rozumiałem tylko jednego, dlaczego na uszycie garnituru muszę wydać całą swoją pensję, ja dobry, wykwalifikowany tokarz”.

Zwiedzaliśmy domy kultury, preweteria, żłobki, robotnicze domy czasów. Żłobki są pełne, początkowo stawiano opory, preweteria są pełne — dźwici się w nich bardzo dobrze czują, malcy w żłobkach świetnie wyglądają, mają najstaranniejszą fachową opiekę. Robotnice z huty „Julia” — autochtonki bez mężów, którzy poginęli na wojnie, z zadowoleniem rozmawiają już teraz o żłobkach, Domy kultury jednak świecą jeszcze pustkami, biblioteki i czytelnie czasopism są mało uczęszczane, co najwyżej zachodzą tu młodzi — uczniowie szkół przemysłowych, zachodzi młodzież zorganizowana.

Akty partyjny, tak — ale robotnicy w swojej masie nie doceniają jeszcze, nie potrafia wejść i użytkować w pełni tych zdobyczy społecznych, jakie im daje nowy ustrój. Urlop spędzają jeszcze nieracjonalnie. Zanotowałem wiele wypadków, że robotnik swoje czasochłonne zajęcie na jakimś remoncie własnego mieszkania, czy jechał gdzieś do rodziny, do innego miasta. Pensjonaty w pięknych miejscach uzdrowiskowych to jest coś, co nie mieści się jeszcze w jego świadomości, jako miejsce do użytkowania.

Kłębili się przed nami problemy: postreżenia procesów produkcji odchodziły na bok, coraz bardziej pasjonował nas człowiek, staliśmy się jednak utrzymać naszą linię, zadawaliśmy męczące już dla dyrekcji i robotników pytania: w jakim stopniu zniszczenia zastano zakład, o ile posunęła się odbudowa, jak wygląda produkcja, jaki stanowi udział w ogólnej produkcji danej gałęzi przemysłu, w jakich relacjach pozostaje z innymi zakładami. Odpowiadano nam uprzejmie, ale z lekkim, zmęczonym uśmiechem. Rozmowę ciągle przerywały telefony: „brak pasów transmisyjnych”, „obrabiarka na ścianie X uszkodzona”, „brak budulca na przodka Y”, nagle gorączkowa, telefoniczna rozmowa — „awaria w maszynach na sortowni!” Dyrektor techniczny, z którym prowadziliśmy rozmowę podrywa się gwałtownie i wybiega z pokoju. Sami dążymy w jego ślady. Na sortowni zamieszanie. Zatrzymały się wózki, odbijane z windy wyciągowej na nadszypi, jest godzina 9 wieczór, okazuje się, że na terenie kopalni nie ma w tej chwili inżyniera od maszyn. Dyrektor techniczny, brygadziśta z czołówki przemysłowej, który przejmował kopalnię „Bytom” tuż po przesunięciu się linii frontu — dawny robotnik, zakasuje sam rękawy. Twarz ma ściana, wie, że nie można za żadną cenę wstrzymać na czas dłuższy wydobywania, jego kopalnię przeciw zdobyła „sztafka pracy”. Po godzinie koła wiesz wyciągowej zaczynają się obracać, wózki na nadszypiu z trzaskiem kierują się do bębnow sortowni, przetaki rytmicznie potrzaskają, zsypuje się węgiel do wagonów, na których przyklejona jest karta: „France”.

Do późnej godziny siedzimy w prywatnym już mieszkaniu dyrektora Koćmy. Teraz już można swobodnie gawędzić, zdaleka dochodzi jednostajny, rytmiczny szum pracującej kopalni. Snuje się historia świata, historia prawie taka sama w dziesiątkach hut, kopalni i wielkich zakładów metalowych i włókienniczych. Rok 45... „Nasza czołówka składająca się z 18 osób przbyła na kopalnię, zastała tu kilkudziesięciu górników — autochtonów. Gdy zjechaliśmy pod ziemię z chodników wiało pustką, z każdego kąta czuwał niepokój, kroczyliśmy pochylniami z naganami w rękę. Rozpoczęła się straszliwa praca. Brak ludzi, brak urządzeń, brak najprymitywniejszych warunków dla normalnej, ludzkiej egzystencji. Po kilkunastu dniach mieliśmy pierwszy „urobek” Krzywa wydobywania z każdym miesiącem wzrastała”.

Obywatelu Ministrze! Pan te sprawy zna najdogłębniej, nie potrzeba o nich nawet przypominać. Na trzecim Zjeździe Ziemi Odzyskanych w Szczecinie powiedział Pan: „Dwa lata minęły od Pierwszego Zjazdu Przemysłowego Ziemi Odzyskanych, dwa lata od okresu, w którym uruchomienie setek zakładów pracy, fabryk, kopalni i hut z ruin i zniszczeń wojennych przy braku bazy apro wizacyjnej, przy braku normalnych warunków bezpieczeństwa, wśród chaosu administracyjnego — wydawało się zadaniem ponad siły najbardziej dotkniętego przez wojnę i okupację narodu”.

Jaka była sytuacja nas, młodych pisarzy, gdy stanęliśmy wobec tego ogromu dokonywanej i dokonanej pracy. Co wybierać do uchwytu pisarskiego? Wciągał nas i osaczał tak bogaty spłot zagadnień, że czuliśmy się po prostu bezradni w swojej funkcji obserwatorów. Wirowały przed nami sprawy — co ważniejsze byliśmy pod urokiem samych czynności produkcyjnych. Ale jak się dokonywała w nas ich percepcja?

Potężna huta „Julia” w Bobrku koło Bytomia czarowała nas nocą gęzermami ognia, kłębami naświetlonej pary i dymu: nocą huta dąsała, zacierała się jej kontury zdawała się wyrwać ku górze. Robotnicy na koksowni spuszcający „ladunek” z pieców koksowniczych, wyglądali w czerwonym żarze

Zofia Natkowska

Ze „Zwierzeń”

(W związku z Wrocławskim Kongresem Intelektualistów)

Wojna ostatnia, tak w swej istocie i przebiegu odmienna od wojen dawnych, stanowi wciąż jeszcze materiał tematyczny dzisiejszej twórczości literackiej. Jest też czynnikiem, wyznaczającym jej uczuciowe napięcia i formalne środki wyrazu. Można powiedzieć, że domaga się środków wciąż nowych — jak gdyby wszystkie dotychczasowe były wciąż nie wystarczające do oddania niezwykłości i wymiarów zjawiska.

Na to co się stało szukamy nazw. Ale dzikość i okrucieństwo, barbarzyństwo i zgroza — te nazwy są nie tylko oznaką niewybrednych środków wyrazu, są ponadto niedostateczne. Stanowią też nieścisłą diagnozę rzeczywistości.

Dzikość i barbarzyństwo nie były rzeczą nową w tej wojnie. Cechami, odróżniającymi ją od barbarzyństwa i dzikości wojen dawnych, zaskakującymi i wstrząsającymi przez swą nowość, były: naprzód jej oparta na ostatnich zdobyczach wiedzy czystej technika bojowa i statystycznie planowana śmiertelność, powtóre — całkowita dla napastnika optymalność, nawet rentowność imprezy, wreszcie staranna historiozoficzna i filozoficzna motywacja.

Akustyczność hasel, zrodzonych z bergsonowskiej intuicji i kultu podświadomości, zapewniła szeroki posłuch propagandzie, korzystającej umiejętnie ze zdobyczy psychologii doświadczalnej do szerzenia mistyki rasy i nadludzkiej uprawnień indywidualności. Uroczyste palenie dzieł kultury, zarażonych intelektualizmem i humanitarnym nowatorstwem, miało zapewnić bezpieczeństwo władaniu tego systemu wierzeń na daleką przyszłość.

Nie wydaje się pożądane ani możliwe, by dzisiejsza twórczość literacka miała odrzucić wszystkie zdobycze pisarskiej umiejętności czasów minionych, by wyrzekała się — w przedśmięciu wypracowania form nowych — całego stanu posiadania w zakresie techniki warsztatowej swego zawodu.

Ale trudno też przystać na to, że arcydzieła powieściowe sprzed lat stu z górą mają nadal stanowić jedyne i obowiązujący wzór dla dzisiejszego pisarza.

Te wskazania krytyki nie są szczęśliwe ani pod względem pedagogicznym, ani praktycznym. Urzeczywistnione bowiem uwalniałyby pisarza od szukania słów własnych do wyrażenia własnego ujrzenia rzeczy i skłaniały go do tworzenia dzieł epigonicznych.

Zostają ponadto w sprzeczności z prawami, ustanawiającymi łączność między pisarzem i jego czasem. I to właśnie w epoce przemian, gdy przeobrażają się kształty życia, a człowiek z największym wysiłkiem, w trudzie nieustannym i wal-

ce, stwarza nowe warunki dla jego kształtów wciąż doskonalszych.

Przebieg zjawiska, w którego zasięgu trwała Europa przez te lata, dostarczył pisarzom materiału tematycznego, jedynego w dziejach. Nic dziwnego, że nawet wbrew pragnieniom wydawców, nie mogą się nadal ustrzec przed jego fascynacją. Żadna dotąd epoka nie zadawała im takiej paszy.

Ale rzecz nie ogranicza się do tematu. Epopeja hitlerowska, wstrząsnęła głęboko poczuciem bezpieczeństwa w ramach dotychczasowego urzędzenia świata. Zagłębiła muzykę ster i melodię szeptów międzygwiazdowych, regulujących wskazania moralne ludzkości. To jest nie tylko temat, ale odkrycie.

Ta niezwykłych rozmiarów kompromitacja irracjonalizmu domaga się przywrócenia autorytetu myśli, a bezprzykładnie bezprawie — rygorów moralności ludzkiej.

Wydaje się rzeczą zrozumiałą, że w czasach zagrożenia prawa człowieka zaw sze intelektualści i pisarze łączyli się w protesty i akcji przeciwko wojnie.

Obeznanie się bliższe z całokształtem młodej, dzisiejszej twórczości nie odkrywa dążenia do realizmu, a ambicje oddania w jednym dziele całej rzeczywistości są raczej wyjątkiem. I nie na tym zdaje się polegać nowoczesność i „postępowość” dzieła, jego wartość socjalna. Wiemy wszyscy, czemu zdarzało się służyć najbardziej wzorowym egzemplarzom powieściowego realizmu.

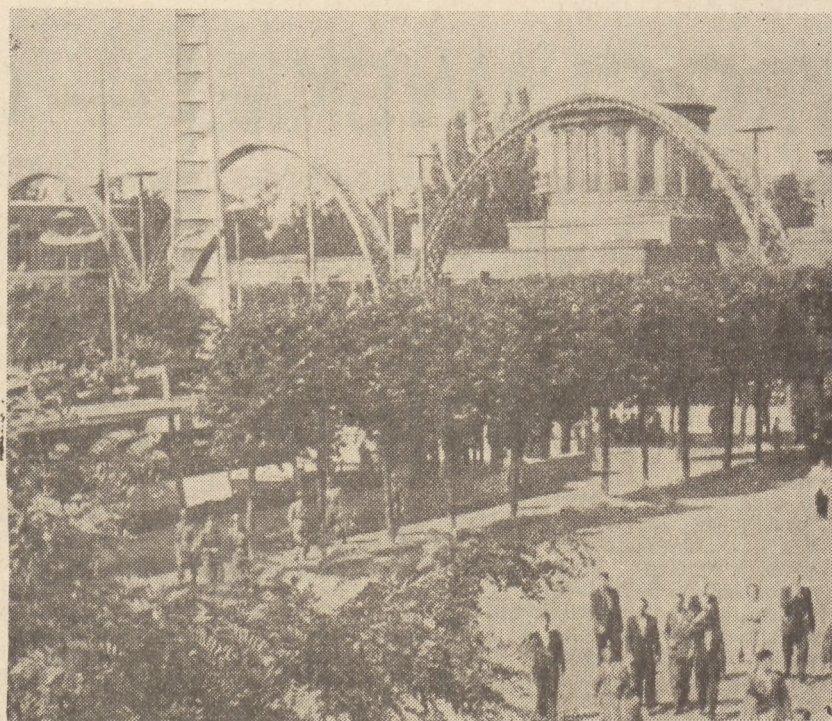
Dopiero zespół dzieł danej epoki jest — niezależnie od tego, czy tak chcemy, czy nie — tej epoki całkowitym, literackim odbiciem. A obraz powinien być tym bogatszy, im bardziej różnorodnie w tematyce i barwie formalnej są poszczególne dzieła. Im bardziej wyłamany z rzeczywistości temat leży w kompetencji pisarza, to znaczy — im bardziej jest autentyczny.

Pisarz podobny jest raczej nie do pianisty, grającego na gotowych klawiszach, tylko do skrzypka, który w czasie gry bezustannie wyznacza tony strunom, przyspasabiając swój instrument do natury muzyki. To temat określa formę, nie „mocne postanowienie” pisarza.

Młoda twórczość dzisiejsza daje nam bogatą relację zbiorową z przeżytego czasu. W nurtach ideologicznych, przenikających tę twórczość, można wyodrębnić dwa motywy równoległe. Jeden podejmuje zagadnienia moralne w ich planie socjalnym, jako odpowiedzialność człowieka wobec człowieka i zespołu ludzkiego. Drugi wyraża postawę poznawczą, intelektualną, stawia diagnozy. Oba wydają mi się ściśle związane z przeżywaną epoką i przez nią, że tak powiem, zdeterminowane.

jak mityczni bohaterowie w kuźni Hefajsta. Przy martenowskich piecach twarze ich w czerwonym zarze wlewającej się stali były czujne i surowe, ruchy odmierzane, ciała jakby sprężone.

Na podszybiu Kopalni „Bytom”, gdy robotnicy stali tłumem przed windą wyciągową, widzieliśmy tylko masę ciemnych sylwet: kombinezony, hełmy górnicze i jednakowo unurzane pyłem węglowym twarze. Chodniki grały przed nami światłami wahadliwych laterek górniczych, czuliśmy pod ziemią kładącą wodę podskórna, dreszcz nas przechodził, gdy mówiono nam, że na tej a na tej pochylni jest za ścianą ogień. Na przedkach widzieliśmy tylko nagie, ociekające potem torsy rębaczy i ładowaczy. Podziemie huczało nam w uszach wagonikami, naładowanymi węglem. Człowiek jako indywidualium tu nagle zniknął. Działała na naszą wyobraźnię sama kopalnia, ale oglądaliśmy ją, wchłanieliśmy w tych kategoriach, jakie przekazywała nam nasza kultura literacka. Przylapywaliśmy się na tym, że tak widzieć kopalnię można było i przed dwudziestu laty. Czym więc mamy podzielić się z naszym czytelnikiem? Jak konstruować nową wizję, z której wynikałby jakiś nowy, adekwatny dla ustroju sens pracy produkcyjnej.



Z Wystawy Ziem Odzyskanych

Ziemie Odzyskane wydały nam się wielką księgą epopei pracy, chodziło o to, aby umieć pokazać, w jakim systemie ta praca się dokonywała. Jakże tu należało perspektywę wykreślać? Na jakich przecięciach dnia „chwycić” robotnika? Jakże dać świadectwo jego pracy i jak pokazać mu równocześnie sytuację, w której się znajduje? Mielibyśmy do dyspozycji narzędzia bardzo warte. Szpalty gazet ciągle są przepełnione zdaniami o zdobyciach społecznych klasy robotniczej, o jej gospodarzeniu państwem. Niewątpliwie słusznie. Faktem jednak jest, że robotnik w swojej masie jeszcze nie rozumie, jaką pozycję zajmuje dzięki nowemu ustrojowi. Nie rozumie może tego jeszcze przy samym warsztacie produkcyjnym. Nie tu więc może szukać należy rozwiązań problemu. Może właśnie robotnik oglądany w domu partyjnym, w świetlicy zakładowej, na naradach produkcyjnych, da nam klucz do odcyfrowania jego właściwej funkcji. Sprawa chyba najpilniejszą dla pisarzy byłoby pokazywanie świata pracy właśnie na tych nowych przecięciach. Nie wystarczy wzbudzenie entuzjazmu do współzawodnictwa pracy, należy uprzytomnić robotnikowi, jakie znaczenie dla jego państwa mają owoce tego współzawodnictwa. Należy wzbudzać w nim entuzjazm dla pogłębienia swojej fachowej wiedzy. Dlatego słusznym wydaje mi się Pański pogląd, wypowiedziany w artykule: „Węzłowe zagadnienia naszej polityki gospodarczej”. Mówi Pan: — „Mamy zaufanie do zdolności i kwalifikacji polskiego robotnika i technika, ale stwierdzamy palącą konieczność zmiany form popierania ruchu wynalazczości i usprawnień, przede wszystkim w dziedzinie wynagrodzenia nowatorów i wynalazców, w dziedzinie ochrony prawnej i opieki nad wynalazcą, oraz w dziedzinie popularyzacji techniki i nowatorów produkcji i wzbudzenia żywiołowego zainteresowania młodzieży dla postępu technicznego i zawodów technicznych”. („Nowe Drogi” Nr 9).

Jakże słusznie, Obywatelu Ministrze! Wynalazca izolatora w kopalni „Bytom” powiedział do mnie: „Dostałem 1.000 zł premii, ale zdałoby się więcej, tak bardzo pragnęlbym

sobie kupić jakieś popularne książki techniczne, tak bardzo chciałybyśmy więcej czytać, na to trzeba mi pieniędzy”.

Jedną z największych zdobyczy nowego ustroju jest szeroko rozbudowana sieć szkół przemysłowych i szkół przysposobienia przemysłowego. Tam właśnie kształcą się przyszli technicy. Z sita tych szkół otrzymamy ludzi prawdziwego entuzjazmu dla postępu technicznego. Mają oni szansę prawidłowego, bezpłatnego kształcenia się aż do pietra najwyższego. Zaden talent o technicznych dyspozycjach dziś w Polsce nie przepadnie. Kto się kształci w tych szkołach? Synowie drobnych chłopów z przeludnionego jeszcze rzeszowskiego, dzieci gospodarzy ze zniszczonych przyczółków: kieleckiego i warszawskiego, kształcą się tam synowie robotników, a nawet i dzieci ze środowiska drobniemszczańskiego.

Oglądaliśmy szkołę zawodową, związaną z Zakładami Pafawagu. Około 1000 uczniów. Bursy. Świetnie zorganizowane warsztaty dla praktyki zawodowej na miejscu, a prócz tego praktyka w Państwowych Zakładach Wagonów. Możliwie najlepszy skład profesorski. Gdy już był pełny komplet uczniów, gdy miejsca w bursie wypełnione do ostatniego, przed dyrektorem szkoły w godzinach rannych jesiennej dnia stanął 14-letni chłopak z wezelem na plecach; twarz miał zszarzała, oczy zaczerwienione, lice ubranko mocno pognicione i zakurzone. Przywlokł się dopiero co z dworca, gdzie spędził noc. Na zapytanie, czego sobie życzy, odpowiedział — przyszedłem zapisać się do szkoły. — Dyrektor rozłożył bezradnie ręce — nie ma już miejsc, człowieku. — Chłopak czupurnie się zjeżył, mówiąc — do domu już nie wrócę, musicie mnie przyjąć. — Ten małe przyjechał spod białostockiej wsi. Sierota. Na bilet złożyła mu się gromada wiejska. Chłopak dziś się uczy. Nie ma u nas miejsca na powtórzenie się sytuacji Prusowego Antka,

Wygląda to na efektowny chwyt propagandowy. Czy można dyrektorowi wierzyć na słowo? W czasie zwiedzania Wystawy Z. O. wpadłem któregoś dnia na dworzec, by szybko nadać korespondencję do redakcji. Na hali dworcowej zastałem gromadkę młodzieży. Zainteresowany podchodzę do nich i pytam: kim są i skąd? Uczniowie ze Szkoły Przysposobienia Przemysłowego Nr 7 w Elblągu. Szkoła liczy około 600 uczniów, 75 proc. ze wsi, przeważnie z rzeszowskiego. Jeden z uczniów — Szczupiel Jan opowiada mi o sobie — pochodzi ze wsi Budziwów o 6 km od Rzeszowa. Z jego wioski jest 6 chłopów w szkole, synowie drobnych, od 2 do 3 ha. Rodzice Szczupela mają 2,5-morgowe gospodarstwo, w domu siedmioro rodzeństwa. Chłopak mówi, że ciągnęło go coś w świat, chciał się czegoś nauczyć, coś poznać, chciał stać się człowiekiem.

Powracam do grupy pisarzy chłopskich, która w roku ubiegłym wyjechała na Ziemię Odzyskaną, by przywieźć stamtąd reportaże dla redakcji. Reportaże nie zostały napisane, a właściwie były pisane w jak najcięższym trudzie i do dziś spoczywają w biurku redakcyjnym. Nie znaleźliśmy właściwego języka, by wyrazić to wszystko, co oglądaliśmy na Ziemiach Odzyskanych. I tu staje problem pisarstwa, które by potrafiło sprostać nowej rzeczywistości. Kazimierz Koźniński w pięknym artykule: „Ziemia pisarzy” mówi: „...tok codziennej pracy stał się już tak normalny, jak w całej reszcie Polski. Dyrektorzy nie wybiegali już gościom naprzeciw i odwieczający nie byli już mile widziani w tyśiącznych zakładach przemysłowych; naruszali oni porządek zajęć, deranzowali zupełnie niepotrzebnie pracowników, wnosząc ze sobą rozgwar hałaśliwego entuzjazmu i podziwu, który nikomu nie był już tutaj potrzebny. Wzruszenia przygodnych pochwał w pełni zastąpione zostały krzywą, narastającą z każdym dniem — statystyki wykonanych

przedmiotów, wykopanych ton węgla i metali... Gorączkowo skakały ku górze cyfry przemysłowej produkcji, one to stawały się najistotniejszym elementem w ocenie wartości i dorobku Ziem Odzyskanych... Praca robotnicza stawała się coraz trudniejsza. Nie mógł on już ślizgać się po powierzchni zjawisk, gdyż wtedy swoim czytelnikom nie by istotnego o sprawach Zachodu nie powie. Śięgać musiał do rdzenia zjawisk ogólnych — a rdzeniem tym były cyfry. Cyfry, które w ciągu dwóch lat podskoczyły od zera do pozycji milionowych, odzwierciedlały najpełniej czas przeżywany. Dziennikarza zastąpił statystyk. On tylko potrafił wystawić pomnik ludziom tutaj mieszkającym i tutaj pracującym” („Nowiny Literackie” Nr 30 (71)).

Czy tylko jednak tyle? Dziennikarz zrobił swoją robotę i robi ją nadal, winien przyjąć pisarz. Czy jednak pisarzowi wystarczyłoby wgrzyść się w cyfry? Wydaje mi się, że problem jest inny. Chodzi mianowicie o zmianę narzędzi pracy pisarskiej, narzędzi w jak najszerzym tego słowa znaczeniu. Jest nim zdobyte wiedzy, niewątpliwie, ale to jeszcze nie wszystko. Na osobowość pisarską składa się cała dotychczasowa kultura literacka, jaką nosimy w sobie. Trudno dokonuje się przebudowa wewnętrzna robotnika, nie mniej trudno dokonuje się przebudowa wnętrza na pisarzy. W innych warunkach przychodzi nam dzisiaj tworzyć, a w innych zupełnie byliśmy kształtowani. Tacy, jacy dzisiaj jesteśmy z naszymi kategoriami myślenia, uczucia i widzenia zostaliśmy urobieni przez strukturę kulturową systemu liberalno-kapitalistycznego, systemu obcego dzisiejszym czasem. Proces rozumienia dziejącej się historii zachodzi daleko szybciej niż nabycie umiejętności właściwego jej widzenia i odczuwania. Stąd płynnie nienadążanie literatury w stosunku do rzeczywistości, literatury, która chciałaby być wierna tej rzeczywistości, literatury, która zdołałaby dawać „całości” artystycznie umotywowane i wiernie kwitujące procesy dokonujących się przemian, przemian przede wszystkim człowieka.

Zdać sobie w pełni sprawę z tradycji, w jakich się wychowywali, to osiągnąć warunki dla nowego pisarstwa. Krytyka literacka mało dotychczas twórców pomogła w tej sprawie. Nie mamy żadnych prac krytycznych, które by oświetliły przy pomocy jakich chwytów artystycznych pisarze rozgrywali problemy gospodarce w literaturze, problemy pracy i jej aktora — proletariatu robotniczego. Przede wszystkim nie mamy żadnych nasświetleń, które by pokazywały, co determinowało taki a nie inny typ widzenia rzeczywistości. Młode pokolenie międzywojenne rocznika 1910—1915 kształtowała określona literatura. Uczyliśmy się patrzeć na świat oczami Orzeszkowej, Prusa, Żeromskiego, Reymonta, oczami Kadena-Bandrowskiego, Morcinka; rozszerzaliśmy później naszą widzialność „Skamandrem” a dalej „awangarda”. To, co się działo na terenie literatury radzieckiej, docierało tylko do bardzo ograniczonego kręgu czytelników. Katajew czy Ostrowski był znany tylko konserwom. Obywatelu Ministrze! Wydaje mi się, że tu można znaleźć odpowiedź, dlaczego pisarze chłopscy nie wywiązali się z podjętego zadania, tu można znaleźć odpowiedź, dlaczego reportaże współczesny nie jest zdolny stanąć twarzą w twarz wobec dokonującej się w nowej Polsce pracy. Niżej podpisany postara się w miarę swoich możliwości na to pytanie odpowiedzieć. (C. d. n.)

Leonard Sobierajski

Tadeusz Drewnowski

Po Kongresie ZAMP

NAJLEPSZE TRADYCJE

Przez Kongres Zjednoczeniowy we Wrocławiu można dojrzeć wielki kawał historii. Perspektywę wglądu w historię, powoływanie się na nią, stwarzały atmosferę wielkości. Zdałoby się, że Kongres jest dla postępowego ruchu studenckiego historyczny.

Gdy padł wniosek o zjednoczenie czterech organizacji studenckich, ich przedstawiciele deklarowali stanowisko swoich organizacji. W każdej deklaracji były słowa: wnosimy do wspólnej organizacji nasze najlepsze tradycje. W żadnej deklaracji nie zabrakło historycznej części, która pozwoliła zrekonstruować zarys dziejów studenckiego postępowego ruchu.

„Nasza tradycja, historia naszej organizacji — mówi reprezentant ZMD, kol. Szatkowski — od Sekcji Młodych Stronnictwa Demokratycznego przed wojną, poprzez Ruch Młodej Demokracji podczas okupacji i powojenną działalność w ramach ZMD wskazują, że jednym z najważniejszych zadań było budowanie jedności postępowej młodzieży polskiej. Sekcja Młodych Stron Demokratycznego z młodzieżą ludową, socjalistyczną i komunistyczną walczyła z sanacją i Ozonem, walczyła z ONR-em i Endecją. We wspólnych akcjach przeciwstawialiśmy się terrorowi bojówek faszystowskich na wyższych uczelniach. Wspólnie walczyliśmy z haubą ghetta ławkowego, wspólnie manifestowaliśmy nasze przekonania w pochodach pierwszomajowych...”

„Założony w 1922 roku ZNMS — mówi przedstawiciel tej organizacji, kol. Zawadzki — stał się w niedługim czasie kuźnią lewicowego socjalizmu, skupił tych, którzy odgrodzili się wyraźnie od wpływów reformizmu nurtujących w polskim ruchu socjalistycznym, a w szczególności w jego kierowni-

ctwie. Już w tym okresie członków naszego związku cechowała właściwa rewolucyjna postawa nieznosząca zgubnych kompromisów. Świadczą o tym deklaracje ideowe tamtego okresu, rezolucje corocznych zjazdów Związku, roczniki przedwojennych „Plomieni”, świadczą również wyniki nierównej walki z wstecznymi elementami na wyższych uczelniach.

Członkowie ZNMS zaczęli już w pierwszych miesiącach po klęsce wrześniowej brać udział w życiu konspiracyjnym i w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne... Byli oni uczestnikami walk prowadzonych przez Gwardię Ludową, walczyli w szeregach AL, PAL, AK i odrodzonego Wojska Polskiego, współtworzyli Socjalistyczną Organizację Bojową, współpracowali w tajnych wydawnictwach, wydawali własny tajny organ. Podczas tej pracy i walki zginęli czołowi aktywiści — Stanisław Dubois, Leszek Raabe, Włodzimierz Kaczanowski, Stanisław Hudoba i wielu innych.”

„AZWM „Życie” z dumą wnosi — oświadcza kol. Altman — tradycje walki przedwojennego „Życia”, które świadomie wiązało swą walkę o wolność człowieka, o rozwój nauki, kultury i twórczej myśli ludzkiej z walką klasy robotniczej i mas ludowych o prawa polityczne i wyzwolenie społeczne. To właśnie z szeregów OMS „Życie” wyszli nieugięci bojownicy o prawa ludu polskiego — Janek Turlejski i Hanka Sawicka. W szeregach konsekwentnego, wolnościowego ruchu robotniczego, prowadzącego naród polski do niepodległości trwali do śmierci na posterunku godnym studenta polskiego „Życiowcy”: Franek Zubrzycki, dowódca pierwszego oddziału partyzanckiego Gwardii Ludowej, Hank. Sawicka, Janek Krasicki, Lucyna Herc, porucznik I Armii Wojska Polskiego, partyzant ziemi lubelskiej, Nowicki członek Sztabu Armii Ludowej powstańczej Warszawy.

Wierni swym tradycjom chcemy wnieść do Związku Młodzieży Polskiej swe najlepsze doświadczenie z pracy, ofiarność i dyscyplinowanie „Życiowca”, nieugięta postawę bojownika o ostateczne zwycięstwo idei wyzwolenia człowieka spod ucisku społecznego i niewiedzy.”

Wiciowiec, kol. Janczak, mówi, że „wspólny jest nasz marsz do dobrobytu i kultury. Ze spokojem spoglądamy na osiągnięcia 30-letniej pracy ruchu wiciowego. Uczyliśmy się na jego klęskach i na błędach, na bezgranicznym poświęceniu i oddaniu sprawie, na wytrwałości i pewności zwycięstwa. Nie urońmy nic z ich osiągnięć, co nie byłoby sprzeczne z interesem mas ludowych, uczynimy wszystko, by ugruntować to, o co oni walczyli — ustrój bez wyzysku. Z przeszłości spoglądamy w przyszłość. Nie idziemy już sami. Interesy chłopa są dziś interesami robotnika, są interesami wszystkich ludzi pracy.”

Oto mamy przed sobą najogólniejszą mapę dróg młodych pokoleń, które wiodły do jednego celu. Kongres Zjednoczeniowy jest punktem, w którym się one spotykają. Wytworzyły się obiektywne warunki państwa ludowego, które pozwoliły zrównać i zjednoczyć młode szeregi.

W gąszczach tradycji zdumiewały konsekwentne i omal równoczesne etapy rozwoju ruchu — pod rozmach historii.

ETAPY JEDNOCZENIA

Na Kongresie w większości spotkali się działacze zjednoczeniowi. W myśl uchwały Kongresu oni — w pierwszym rzędzie — powinni wejść do władz Związku Ak. Młodzieży Polskiej.

Alc tradycje jednościowe w ruchu studenckim są znacznie dawniejszej daty. W okresie dwudziestolecia młodzieży demokraty-

czna walczyła wspólnie przeciw wybujałemu nacjonalizmowi i rasizmowi. Już w tym okresie pomimo formalnych odrębności rozdziła się jedność działania. Steżała ona w trakcie okupacji, gdy walka o narodowe i społeczne wyzwolenie przystąpiła całe nasze życie.

Od pierwszych chwil po wojnie zaczęła się ścisła współpraca między organizacjami młodzieżowymi. Ideę współpracy realizowano na codzień. Wkrótce Akademicki Związek Walki Młodych „Życie” i Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej zawarły umowę o jedności działania. Dalszy etap na drodze jedności — to Akademicka Komisja Jedności Działania Organizacji Demokratycznych. Cały ciąg logicznych następstw. Cała droga i: kwidowania jakichkolwiek przeciwności we wspólnej praktyce. Już wówczas w środowiskach akademickich rozgorzały dyskusje nad zjednoczeniem organizacji.

Wreszcie w dniu 21 kwietnia br. w wyniku wspólnych obrad władz naczelnych czterech organizacji powołano Centralny Komitet Jedności i polecono mu „przygotować Kongres Zjednoczeniowy Komitetu Jedności na wszystkich szczeblach organizacyjnych”.

Były to etapy zespalania coraz ściślej organizacjami młodzieżowych. Obecne zjednoczenie nie jest mechanicznym zsunowaniem kartotek członkowskich. Tworzymy jedność twórczą, w której nowy układ ludzi i programów wyzwala nowe rewolucyjne siły młodzieży.

NOWY WZÓR

Przewodniczący ZAMP Zenon Wróblewski wyliczył i omówił szeroko kilka głównych zadań, jakie stoją przed nową organizacją. Wokół nich kładła wielogodzinna dyskusja. Szczególnie wiele uwagi poświęcono etyce członka naszej organizacji.

Zarzucają nam, że nie mamy własnej mo-

MŁODZI POECI ŚLĄSCY

Na początku był Uniwersytet — tak żartował kiedyś Agata Kaizerek pisząc o wrocławskim życiu literackim, które wyrosło w okolicach tutejszego studium polonistyki. Agata Kaizerek miała na myśli Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego. Niemniej powiedzenie to świetnie określa początki wrocławskiego zespołu młodych pisarzy. Grupa studentów-poetów zakładała w 1946 r. podwórko literackie. Rok następnym pomnożył znacznie ilość ambitnych piór (czy raczej piórek), tak że na podwórku zrobiło się wcale tłoczno. Wtedy w sprawę wdał się starsi. Koło Miłośników Literatury, organizator tzw. „Czwartków literackich”, oddało jedno czy dwa ze swych posiedzeń młodym. Występ ten posłużył za egzamin. Pegazikowi wrocławskiemu ubyłoby ciężaru, niewielu bowiem przetrzymało próbę pierwszej publikacji.

O tych, którzy „zdali” czas zacząć mówić poważnie. Byli to poeci: Jan Pierzchała i Elżbieta Miłanczówna. Potem dołączyli do nich inni, omijając już czwartkowe „egzaminy”. W ten sposób powstała grupa w dzisiejszym składzie.

O zespole tym jako o „grupie literackiej” można mówić jedynie w sensie topograficznym. Poza miejscem zamieszkania żadna bowiem wspólna poetyka ich nie łączy. Spójrzmy zresztą z bliska:

Pierzchała początkowo śpiewał regularną strofą o „śląskich stronach” (Jan Pierzchała, Wiersze. Arkusz Śląski, nr 10). Dziś patrzy szerzej i pisze swobodniej. Nadaża za politycznym biegiem wydarzeń. Bez patosu, za pomocą prozajckiej leksyki przemienia społeczne treści na poetyczny kształt. Miłanczówna reprezentuje odmienny typ. Rzeczywistość obserwowana i opisywana ma swój byt tylko w niej i przez nią, podporządkowana jest jej mocno rozwiniętemu egotyzmowi. Trzeci z kolei i najmłodszy poeta wrocławski Tadeusz Urgacz (jeden z nie-polonista w tym środowisku) jest osobowością chyba najtrudniejszą do określenia. Bujny, niespokojny temperament każe mu stale zmieniać poetykę, przechodzić od awangardowej hiperboli do stylu poezji — agitki.

Tyle o poetach. Grupę dopełniają recenzenci i dziennikarze: Jan Gawalkiewicz i Tadeusz Lutogńiewski. Gawalkiewicz, katolik — jedynak grupy, to pióro bystre i inteligentne, ale metodycznie niezdecydowane. Pozostając wobec socjologicznego pojmowania literatury w wiecznej opozycji, nie wybrał dotąd żadnej konsekwentnej drogi. Lutogńiewski, dawniej ambitny twórca, dziś jest świetnym dziennikarzem — specjalistą od spraw literatury. Jego „Ekran Tygodnia” — dodatek do „Wrocławskiego Kuriera Ilustrowanego” należy (powtarzam opinie pozawrocławskich

sprawozdawców prasowych) do najlepszych dodatków literackich w Polsce.

Jest rzeczą znamioną, że brak tu zupełnie prozaików. Próbowali kiedyś sił Romuald Cabaj i Jerzy Cieślowski, ale pierwszy odszedł do roboty radiowej, drugi rozmiękał się na drobne kawałki satyryczne i recenzje w dziennikach.

Obecny I rok polonistyki wydał grupkę skupiającą się około powielaczowego pisemka „Chochoł”. Ich zbyt krótka działalność nie pozwala na żaden wartościujący sąd. Wystarczy stwierdzić, że są wśród nich ludzie zdolni i obiecujący.

Z tej nader pobieżnej charakterystyki środowiska można odczytać przynajmniej dwa fakty. Po pierwsze — stale przewijające się przeciwstawienie „dawniej... dziś”, dowodzi ciągłego rozwoju grupy, po drugie — konieczność poprzedzenia „wrocławskiej kolumny” tego rodzaju wstępem świadczącym przeciw samej grupie. Nazwiska powinny mówić za siebie, tymczasem mało kto je w Polsce zna. Przyczyny nie należy szukać w poziomie artystycznym ich prac (Wrocław nie ma potrzeby wstydzić się swoich młodych), ale raczej w zjawisku, które bym nazwał „kompleksem młodszości kulturalnej” Wrocławia. Młodzi pisarze nie wychodzą publikacją poza region. W „Odrze” i „Zeszytach Wrocław-

skich” czują się pewnie i swojo, ale kontakty z „Kuznicą” i „Odrodzeniem” — to sprawa dosłownie ostatnich tygodni. Za kompleks ten nie ponoszą naturalnie winy wspomniane redakcje, lecz literacka geografia naszego kraju. W polskim trójkącie kulturalnym (Warszawa — Łódź — Kraków) na Wrocław patrzy się życzliwie, choć nieco pobłaźliwie. Starsi bracia deklamują o ważności kulturalnej Ziemi Zachodnich, ale sami się do Wrocławia nie kwapią.

Na rozwoju młodych waży zwykle starsze środowisko literackie. Niestety pisarzy wybitnych zbyt łatwo tu policzyć. Jest ich właściwie tylko troje: Anna Kowalska, Tadeusz Mikulski i Wojciech Zukrowski. Ci robią, co mogą: urządzają „Czwartki literackie”, pośredniczą między młodymi a redakcjami pism literackich i dopominają się u adeptów pióra o recenzje do „Zeszytów Wrocławskich”. Jest tych ludzi dobrej woli jednak za mało i to osłabia liczebność grupy młodych. Młodzież literacka, która ze zrozumiałych powodów poszukuje większych skupisk literackich, omija Wrocław. Ze swego stanowiska ma rację i trudno ją posadzać o egoizm. Winic można jedynie starszych pisarzy, którzy nie rozumieją, że pracować można także we Wrocławiu i wola „czworaki literackie” na Krupniczej czy Bandurskiego.

Jerzy Ziomek

Jan Pierzchała

WYZNANIA

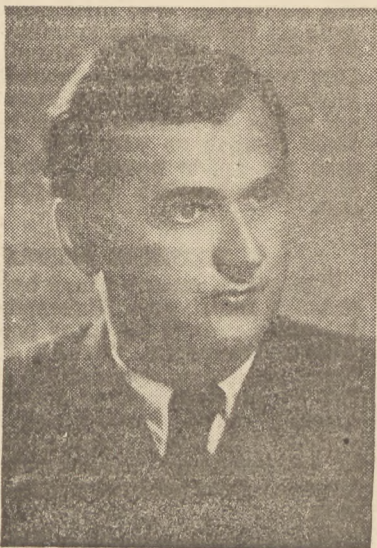
Gdyby tak jednak rewolucja.
Gdyby tak, jak chciał Mickiewicz.
Świątem, jak karuzelą zahuścić
i pięścią na odlew dzielić.

W domu się tylko o zgryzocie mówiło.
Nawet nie szepnęła nikt: ojczyzna.
W 36-tym roku o niewiele szło,
o parę groszy a zaczęli strzelać.

Teraz już o tym nie każdy wie.
W ciszę się garną wszyscy, w ciszę.
Zapytajcie robotników z Sosnowca,
ci by wam powiedzieli o Rzeczypospolitej.

Pomyśleć. Gdyby tak jednak rewolucja.
Gdyby tak, jak chciał Mickiewicz.
Rozewrzeć naraz usta
i jak z armaty strzelić.

Byłoby inaczej. Panie w tramwaju,
które, jak od smrodu krzywią usta,
miałyby w rękach koszyk z marchwią,
włosy w kółko i byłyby w chustkach.



Chwałę strofę zwyczajną — szepnięcie na wargach
o rzeczy co nie zszarpie nic i nie potarga.

Chwałę jado na miejsce. Pochwalam też śpiew
o panach co cygara palił w stolicy.

Chwałę radość za wierszem i głos który syci.
Chwałę drogę w topolach z Chorzowa do Lipin.

Pochwalam śpiew klarnetu i kamień w kościele,
pochwalam chód staruszków, pochwalam też zieleni.

Pochwalam ryk kopalni i mowę o świecie.
Chwałę szum robotniczy, który na nas idzie.

Pochwalam powrót z wojny o dobrej godzinie
i chwałę dzień dzisiejszy i przed nim się chył.



Elżbieta Miłanczówna

NAD NARWIĄ

Córka liberalnego mieszczaństwa,
którą uczono:

rozumieć to znaczy wybaczać
na próżno starałam się pojąć nad Narwią
Jana Srokę
który z przedostatnią gwiazdą
umnieszał państwowy las
o jedną bezbronną sosnę.
Nie mogłam mu wybaczyć jego nędzy.

Krajobraz pierwszej młodości
— wtedy więc za wydmami
przerosła moje doznanie.

Na lotnisku miejska kobieta
wmusza w niecierpliwe dziecko
jeszcze jeden łyk mleka.

Ale bosa dzieci mają atramentowe usta
i kosze pełne jagód.
Na stacji „Pustki”
przekupień daje dwanaście groszy od garnca.

Jakże tu było czytać Romain Rollanda
W paryskiej mansardzie
to właśnie Jan Krzysztof mówił o pojmowaniu
Tam na triumfalnym łuku
miasteczko nad Narwią
wryto w spisie napoleońskich bitew.

A tu na jarmarku
chłopi pobili się w karczmie
i potem wymyślali na żyda
że ich wszystkich oszukał.

Tylko las jest wiecznie zielony
i kołysze się wdzięcznie
od szmaragdowej spódnicy kurpianki
kiedy goni krowę na wilgotnej polanie.

Doprawdy
nie znam rzekę bardziej błękitnej niż Narew.

Tadeusz Urgacz

CZARNY BOB Z U.S. ARMY

(szkic wiersza)

Czarny Bob z amerykańskiej armii
za Europę się biał —
krwią jak nabojem z karabinu
celował z całych sił.

Dziś czarny Bob w Paryżu
chodzi pijany — cóż za gaffa.
Pod nocem śmiesznie wyskoczyła
wieża Eiffla: żyrafa.

Pił wódkę nabity w smutek
jak w stary swój karabin:
dzisiaj już wsiądkła moja krew,
znów jestem czarny.

Czarny jest świat, czarna skóra
i czarna jest moja żona,
i tylko moja krew
była czerwona.



ROK 1950

Czarne koniki dymu
klusują w rozpędzie od fabryk,
towarzysze nie z mojej partii
niosą lornetkę.

Lornetka podmalowana w szafir
pokazuje rok pięćdziesiąty —
dlaczego smutny pukiel
zawsze zasłaniał mi oczy?

Nieprzyzwyczajony do wiary
widzę na freskach powietrza.

Nie dam lornetki chciwym:
żołnierzowi bez rąk,
ciężkokrotnym ludziom,
nieznajomej kobiecie
kręcącej niebieskie skrzydło wiatraka.

Szkiełkiem ładniejszym od oka
widzę lato zachwytu.

Nieprzyzwyczajeni do wiary
szukają świętszej lornetki.

Władysław Strzebiński

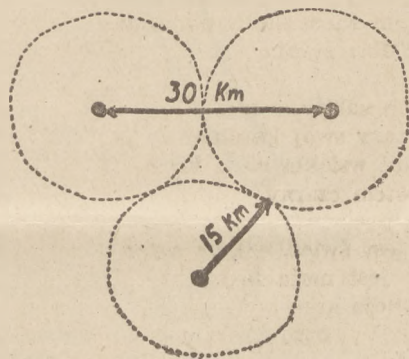
Obraz Łodzi kapitalistycznej

ROZWÓJ Łodzi jest typowym rozwojem XIX-wiecznego miasta kapitalistycznego. Z jej planu możemy odczytać kolejne etapy narastania sił produkcyjnych i wytwarzanych przez nie sprzeczności społecznych. Zasadnicza sprzeczność: pomiędzy społeczną formą produkcji a indywidualnym sposobem przywłaszczania jej wyników — znajduje swój odpowiednik w planie miasta, gdzie każdemu kolejnemu etapowi uprzemysłowienia odpowiada kolejny bezsens warunków mieszkaniowych, pogorszonych w wyniku wzrostu sił produkcyjnych. Każdy wzrost sił produkcyjnych, każdy skok wzwyż odbijał się kolejną klęską na szerokich masach mieszkańców Łodzi. W wyniku tego rzadkiego w historii dynamizmu rozwojowego powstał konglomerat, nie nadający się właściwie do zamieszkania. Ogrom pracy, wydobytej z wysiłku Łodzian — nie służył im, nie dał dla nich żadnego wyniku. Z punktu widzenia urbanistyki — wysiłek kilku pokoleń włókienniczy Łódzkiej poszedł na marne. Historia budowy Łodzi jest historią zmarnowanej (dla społeczeństwa) pracy tego społeczeństwa.

ŁÓDŹ PIERWOTNA.

Położona na przeprawie przez rzekę Łódkę, tam gdzie ją przecinała drugorzędna droga z Łęczycy do Piotrkowa, teren był gęsto zalesiony i bagnisty, drogi rozmokłe i trudne. Łódź służyła jako punkt wypoczynkowy (karca, zajazd itd.).

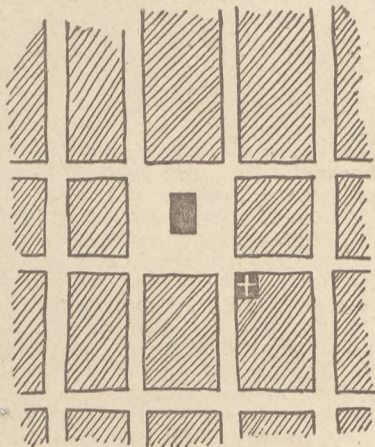
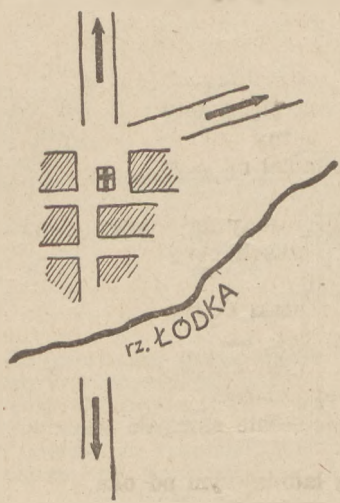
Jednocześnie z tym pełniła Łódź inną funkcję — rudymentalną, funkcję, związaną jeszcze ze średniowieczem. Łódź była miasteczkiem rzemieślniczym, tak typowym dla sieci miast średniowiecznych. Każde takie miasto zaopatrywało w wyroby rzemieślnicze najbliższe, przylegające tereny. Każde takie miasteczko, odległe jedno od drugiego przeciętnie o 30 kilometrów było naturalnym ośrodkiem terenu o odpowiadającej mu strukturze gospodarczej. Odległość 30 kilometrów była uzasadnioną długością drogi dziennej.



Mieszkaniec, osiadł gdzieś na peryferii właściwego terenu, wyjeżdżając do miasteczka po zakup potrzebnych mu wyrobów przemysłowych — miał do przebycia drogę 15 kilometrów w jedną stronę i, po załatwieniu zakupów, zdążył jeszcze tego samego dnia powrócić do domu. Promień terenu, przynależnego do miasteczka wynosił w ten sposób 15 kilometrów i każdy rolnik, wyjeżdżając po zakupy, unikał niebezpieczeństwa podróży nocnej.

Gęsta sieć tego typu miasteczek, równomiernie rozmieszczonych w terenie — stanowiła podstawę średniowiecznego, urbanistycznego ukształtowania kraju. Każde miasteczko zaopatrywało swój okręg w niezbędne codziennie wyroby rzemiosła. Miasteczko wraz z okręgiem stanowiło podstawową jednostkę gospodarczo - polityczną.

Wskutek istnienia obok Łodzi tak potężnego centrum, jakim niegdyś były Brzeziny (obecnie Łódźki) — nie mogła się ona w pełni rozwinąć. Część jej funkcji przejęły Brzeziny, jako miasto bardziej atrakcyjne. Stąd pochodził niedorozwój Łodzi średniowiecznej. Dopiero w wieku XV została ona, po długich staraniach uznana za miasto. O tym jej niedorozwoju do pełni miasteczka średniowiecznego możemy się przekonać, oglądając jej plan



złożonego z regularnej prostokątnej szachownicy ulic z rynkiem w środku miasta, z ratuszem w środku rynku i z kościołem w jednym z narożników rynku. W rynku skupiały się interesy handlowe, a ulice były zamieszkałe przez rzemieślników. Czasami w większych miastach każda ulica skupiała rzemieślników jednego zawodu. Tak np. były ulice: Szewska, Rzeźnicza, Rymarska itp.

Miasto, tak rozplanowane było wyrazem dwóch zasadniczych sił ekonomicznych, jakie je stworzyły: produkcji rzemieślniczej (ulice) i kapitału handlowego (rynek). Współdziałanie tych, wzajemnie się wspierających i zwalczających sił stworzyło swoisty układ funkcjonalny miasta średniowiecznego.

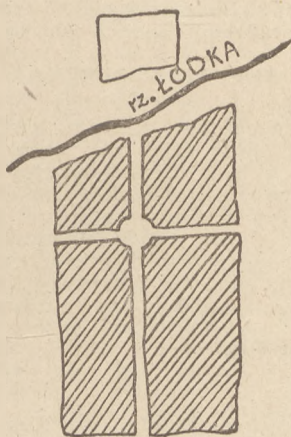
Otóż tej równowagi nie dostrzegamy w planie Łodzi średniowiecznej. Zamiast rozwiniętej regularnej szachownicy ulic — zaledwie zaznaczony jej zarys. Zamiast rynku z ratuszem, otoczonego siecią gęsto zaludnionych ulic — plac (obecnie Kościelny), położony na krańcu miasta. W wyniku niedorozwoju rzemiosła i nieobecności kapitału handlowego, Łódź była miastem, gdzie wegetowało paru rzemieślników, lecz nie odbywały się żadne obroty handlowe. Jej plan mówi o stanie letargu tych sił, jakie powoływały gdzieś indziej do życia czynne i ludne miasta średniowiecza.

Teren lesisty i bagnisty był zbyt słaby, by wykonać z siebie dostatecznie aktywny organizm miejski. Zaplecze rolnicze nie wyolbrzymiło miasta handlowo - rzemieślniczego.

OSADNICTWO REMBIELIŃSKIEGO.

Ten właśnie niedorozwój terenu jego lesistość (tani budulec) i pustynność (łatwość zaludnienia pustkowiec) były argumentami, które przemawiały za nim, gdy Królestwo Kongresowe przystąpiło do rozwijania swoich sił ekonomicznych.

Teren osadnictwa rzemieślniczego został wybrany na polach, położonych na południe od ówczesnej Łodzi, wzdłuż drogi piotrkowskiej.



Obszar tego osadnictwa możemy wyznaczyć obserwując rozmieszczenie domów o fasadach 7-mio okiennych. Prawie wszystkie te domy należą do obszaru, objętego akcją osadnictwa rzemieślniczego. Chodząc po mieście, licząc okna, i obserwując domy, możemy niemal odczytać całą historię ich posiadaczy. Zasadniczą regułą jest dom 7-okienney. Zdarzało się jednak, że którykolwiek z posiadaczy — prawdą i nieprawdą, przesuwaniami granic i podstępem powiększał swój stan posiadania i dochodził w ten sposób do majętności o 8 oknach, na niekorzyść oszukanego sąsiada, który się musiał zadowolić domem o fasadzie 6-cio okiennej.

Zdarzało się, że 2 nowych właścicieli nabywało 3 parcele, dzieląc je między sobą — i wówczas powstawały domy, o 10 oknach frontowych.

Zdarzało się również, że właściciel, opanowany pychą i próżnością — zwał okna i odstepy między nimi, lecz posiadał za to, na parceli normalnej — dom 8-okienney, przedmiot jego dumy i ambicji, wynoszący go ponad sąsiadów.

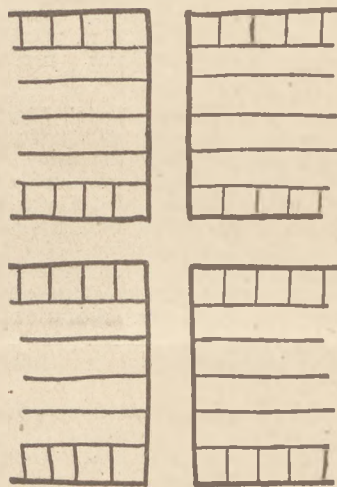
Obserwowanie szerokości domów na terenie

należącym do akcji osadnictwa rzemieślniczego pozwoli odczytać historię cnót mieszczańskich i historię podstępów i szacherek dobrosąsiedzkich.

Cały ten obszar, mieszczący się pomiędzy ulicami Gdańską — Kilińskiego i Ogrodową — Główną, posiada zwarty, jednolity typ domów o jednakowej szerokości 7 okien, odpowiadający jednakowej szerokości parcelom. Jak więc z tego wynika, akcja osadnicza była oparta na zasadach zgóry określonych i dookładnie przemyślanych. Proces powstawania Łodzi Rembelskiego nie był procesem żywiołowym, lecz akcją planową. Każdemu osadnikowi wyznaczono określoną działkę, wynikającą z wymagań produkcji i zaopatrywano go w budulec z lasów rządowych.

Z tych działek składały się bloki nowopowstałego miasta rzemieślniczego, położonego na południe od starej Łodzi. Plan urbanistyczny określił miejsce ulic, wielkość działek i rozmiary domów. Funkcjonalizm, wynikający z produkcji, bezpośrednio z nią związany jest podstawową cechą urbanistyczną Łodzi, założonej przez Rembelskiego. Inicjatywie osadników było pozostawione tylko techniczne wykonanie planu w ramach zgóry im wyznaczonych. Osadnictwo to było akcją planową.

Lecz, obserwując uważniej, dostrzeżemy w tym planie jeszcze jedną właściwość. Działki tkackie przylegają do ulic, biegnących z północy na południe. Lecz przy ulicach, skierowanych ze wschodu na zachód znajdują się te same domy 7-okienne, położone na parcelach, już nie wydłużonych, lecz kwadratowych. Są to parcele rzemieślnicze.



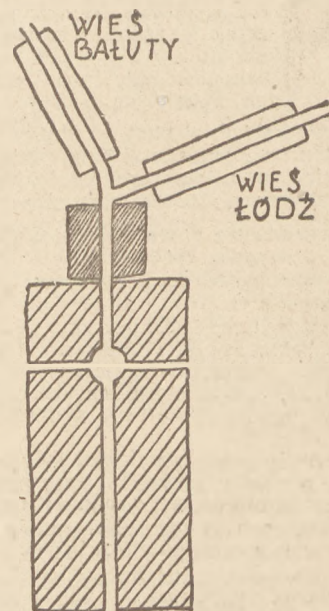
W kierunku południowym biegną ulice tkackie, a w kierunku równoleżnikowym — rzemieślnicze. Rzemieślnik nie potrzebuje terenu do suszenia, bielienia itp. tkanin i dlatego otrzymuje działkę mniejszą, wystarczającą do postawienia domu z warsztatem. Otrzymany w ten sposób plan miasta odznacza się niezmierną przejrzystością i funkcjonalizmem układu. Nie chaos żywiołowego wzrostu lecz ścisła rzeczowość, uwarunkowana wymaganiami produkcji. Wyraźnie występują dwie główne siły gospodarcze, kształtujące organizm miasta: — tkactwo i rzemiosło.

I wśród tej masy jednakowych komórek produkcyjnych, wśród tej masy jednakowych 7-okiennej domków drewnianych — jedyny akcent odmienny — mury, wczesno - biedermejerowski plac centralny — (obecny Plac Wolności) — ośrodek administracyjny i handlowy — jedyne miejsce, gdzie dopuszczony został do głosu — składnik estetyki. Wśród ściśle rzeczowej, codziennej masy domków rzemieślniczych i tkackich — jakże nieszmiały — biedermejerowski akcent architektoniczny.

Jeśli w swoim czasie w literaturze niemieckiej podnoszono zasługi tkaczy przy powstawaniu Łodzi — wystarczy wskazać na plan miasta, na jego niespotykany w ówczesnej Europie, rzeczowy i ścisły funkcjonalizm, by rolę tkaczy niemieckich sprowadzić do jej rzeczywistego znaczenia — ślepych wykonawców genialnego planu.

Wzrost sił produkcyjnych, związanych z ukształtowaniem się Łodzi tkacko - rzemieślniczej dał zatrudnienie tysiącom pracującym w niej tkaczy i rzemieślników — stworzył dla nich warunki pewnego dobrobytu.

Jednocześnie z tym powstało zapotrzebowanie na pewne pomocnicze rodzaje pracy. Łódź stała się rynkiem pracy, wchłaniającym niewykwalifikowane i zdeklasowane elementy wsi późno - pańszczyźnianej. Chłop, wyrzucony z roli szedł do Łodzi, by o cokolwiek zacząć ręce, szukał pracy dniówkowej i doraźnej, która by go uratowała od głodu. Ten chłop nie mógł zamieszkać w stosunkowo zamieszkałej i obcojęzycznej Łodzi tkacko - rzemieślniczej. Wszelkiego rodzaju nędza, jaka napływała do Łodzi, mogła się tam zaciepić o pracę, lecz nie mogła tam zamieszkać. Swoi szedł do swego. Przybyły chłop bezrolny szedł na mieszkanie do miejscowego chłopca rolnego. Miejscem zamieszkania napływowej nędzy bezrolnej stały się okoliczne wsie: Bałuty i Łódź.



Zagadnienie Bałut, jako najgorszego piekła mieszkaniowego powstało jeszcze w epoce Łodzi przed - maszynowej, lecz trwało i rozwijało się przez cały czas jej istnienia. W ramach ustroju kapitalistycznego nie było środków dla jego zlikwidowania, ponieważ niestanny proces tworzący się kapitalizm stał się, jako produkt uboczny, wytwarzal najbardziej upośledzone odpadki ludzkie, dla których lożyskiem były Bałuty.

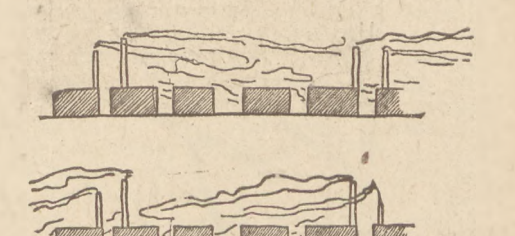
PIERWSZY ETAP UPZEMYSŁOWIENIA.

Rozpoczyna się około 1840, wówczas, gdy powstaje fabryka Geyera. Kongresówka oddzielona od Cesarstwa granicą celną. W środku Kongresówki, w Łodzi, w środku obszaru gospodarczego o jednolitej strukturze rozbudowuje się przemysł, zmierzający do nasycenia towarem całego swego obszaru. Zadanie to zostaje ułatwione wskutek centralnego położenia Łodzi.

Budowa nowych fabryk postępuje szybko i produkcja wzrasta. Fabryki powstają częściowo na peryferiach, częściowo w śródmieściu, na miejscu dawnych warsztatów rzemieślniczych, przekształconych obecnie na fabryki.

Ten nowy wzrost sił produkcyjnych, dający duże zyski właścicielom fabryk i utrzymanie dla nowych dziesiątek tysięcy pracujących — siła sprzeczności, tkwiących w rozwoju gospodarki kapitalistycznej — nie ulepszył, lecz odwrotnie — pogorszył sytuację mieszkaniową Łodzi. Duże miliony rubli, na jakie oceniano ówczesną produkcję Łodzi — nie poszły na korzyść, nie przekształciły jej na lepsze, lecz odwrotnie, zniekształciły i zagmatwały dotychczas wczesny funkcjonalizm Łodzi stworzonej przez Rembelskiego. Fabryka żywiołowo wtargnęła, rozbudowała się tam, gdzie mógł lub chciał jej poszczególny właściciel, nie licząc się z wymaganiami higieny, komunikacji i zdrowych zasad urbanistyki. Funkcjonalna planowość układu miejskiego, tak uderzającego w planie Rembelskiego — została zniekształcona na korzyść dzikich sił rozwoju kapitalistycznego.

Dzielnica tkacko - rzemieślnicza staje się śródmieściem Łodzi przemysłowej. Grundownym i doszczętnym zadymieniem uniemożliwiony pobyt w tym „śródmieściu“ — stało się zadaniem nowopowstałych fabryk. Fabryki te powstają przeważnie wzdłuż ul. Kilińskiego i ul. Wólczńskiej — na wschód i na zachód od ówczesnego śródmieścia. Każdy, skądkolwiek wiejący wiatr zadymia cały teren miasta.



POWSTANIE WIELKIEGO PRZEMYSŁU.

Po zniesieniu granic celnych pomiędzy Kongresówką a Cesarstwem, znalazł się przemysł łódzki w innej sytuacji i wobec nowych możliwości.

Dotychczas był on przemysłem centralnie położonym w stosunku do stosunkowo nieznanego obszaru Kongresówki i nastawionym na jej nasycenie towarem. Odgródzony granicami celnymi, był typowym przemysłem, obsługującym izolowany obszar i zabezpieczonym od konkurencji zewnętrznej. Lecz właśnie wtedy, gdy produkcję swoją rozbudował tak, że mógł wypelnić zapotrzebowanie terenowe — granice celne zostały zniesione i Łódź znalazła się wobec olbrzymich rynków Rosji i wobec konkurencji jej przemysłu.

Jednak w porównaniu z rosyjskim przemysłem włókienniczym, skoncentrowanym w

i porównując go z normalnym planem typowego miasteczka średniowiecznego,

okolicach Moskwy — znalazła się ona w idealnej nieomal sytuacji, w jakiej umiejscowiano przemysł w okresie imperializmu, tzn. w bezpośredniej bliskości podstawowego surowca, jakim był w danym wypadku węgiel.

Tak jak początkowo — była ona centralnym punktem swego terenu, tak później — idealnie niemal, na złożach surowca osadzonym miastem taniej produkcji. To zdecydowało w obu wypadkach o jej szybkim rozwoju i umożliwiło wyłonienie się z masy fabryk kilku zakładów wielkoprzemysłowych (Geyer, Scheibler, Grohman, Poznański, Widzew).

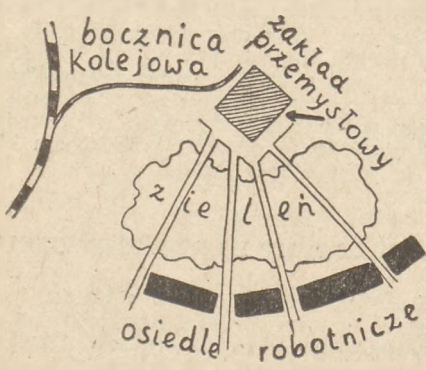
Wskutek wielkiej skali produkcji wyłonił się przed tymi zakładami cały szereg nowych zagadnień organizacyjnych, z jakimi się nie spotykał przemysł, niżej zorganizowany.

1) Zagadnienie dowozu olbrzymich mas surowca wymagało zorganizowania komunikacji — przeprowadzenia własnych bocznic towarowych.

2) Zagadnienie zabezpieczenia sobie sił roboczych i uniknięcia naturalnych, przy takiej masie pracowników, spóźnień — wymagało rozbudowy osiedli robotniczych, związanych z terenem pracy.

3) Zagadnienie zdrowotności (gdyż chory robotnik pracuje gorzej, a poszukiwanie nowych powoduje zastój produkcji i stratę zwykanych godzin pracy) — wymagało stworzenia zieleńców, obsługi zdrowia itp.

W ten sposób powstał schemat, zrealizowany bardzo częściowo (zysk kapitalisty!) lecz posiadający w sobie zalążek społecznego rozwiązania zagadnień urbanistycznych w skali wielkoprzemysłowej.



Ten schemat określa podstawowe elementy funkcjonalne układu urbanistycznego:

- 1) Zakład przemysłowy (miejsce pracy), 2) bocznicą kolejową (transport towarowy) 3) strefa zielona, zabezpieczająca świeże powietrze, 4) osiedle robotnicze, oddzielone zieleńią od dymów fabrycznych.

W realizacji, zgodnie z prawem sprzeczności rozwoju kapitalistycznego, wszystkie te składniki, nawet jeśli zostały wykonane — nie dały pożądanego efektu społecznego.

Zamiast osiedli robotniczych wybudowano zwykłe koszary, w których robotnik znalazł się w podwójnej zależności od fabrykanta — jako od pracodawcy i jako od kamienicznika.

Strefa zielona została otoczona przez żywiołowo i bezplanowo rozrastające się miasto. I cóż robotnikowi z tego przyszło, że poza zieleńią dosięga go dym nie z „jego” fabryki, lecz z fabryki innego właściciela?

Tylko bocznicę kolejową stanowiły wkład tważy i niezmienny w organizm miasta. Lecz i tutaj — to co miało wzmacniać siły produkcyjne — stało się jarmem i niewolą dla mieszkańców.

Przez Łódź przechodzą dwie bocznicę fabryczne. Jedną od linii Kaliskiej, prowadzi do zakładów Poznańskiego, druga od linii Fabrycznej — do Scheiblera i Grohmana i dalej do Geyera. W swoim bezplanowym, żywiołowym rozroście miasto wyszło poza swe pierwotne granice. Linie te, przebiegające poprzednio przez pustkowi podmiejskie, znalazły się niemal w środku miasta. Powstały trudności komunikacyjne. Linie te rozcięły miasto na części, pomiędzy którymi nie ma komunikacji. Np. cała dzielnica p.n. - zach. została odcięta przez bocznicę Poznańskiego, a dzielnica p.d. - wsch. przez połączone bocznicę Scheiblera, Grohmana i Geyera.



TRZECIA FAZA UPRZEMYSŁOWIENIA.

W końcu XIX w. i na początku XX przemysł łódzki ostatecznie włączył się w aparat imperializmu Rosji carskiej. Było to tym łatwiejsze, że pieniądź nie ma zapachu, a zasadnicza masa fabrykantów składała się z ludzi narodowości obcych terenowi.

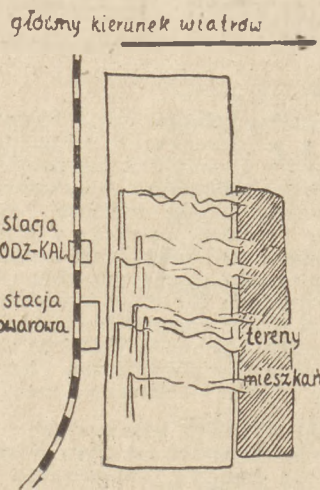
Przemysł łódzki posiadał dane ku temu, by

być najbardziej imperialistycznie nastawionym środowiskiem wólkieniczym ze środowisk wólkieniczych ówczesnej Rosji. Tamte ośrodki wólkienicze leżały zasadniczo w centrum kraju (Moskwa, Iwanowo i in.), oddalone zarówno od swego węgla, jak i od swojej bawełny. Ich położenie terenowe narzucało im rolę, znaną nam z okresu niedorozwoju przemysłowego — rolę centralnego ośrodka, zmierzającego do nasycenia towarem swego obszaru. Dlatego przemysł okręgu moskiewskiego był nastawiony na zaopatrywanie rynków Rosji Europejskiej, na ich nasycenie towarem. Tymczasem Łódź, położona bliżej węgla, produkując taniej — wysyłała towar na rynki syberyjskie, na rynki Dalekiego Wschodu i Chin. Wskutek tanich kosztów produkcji mogli fabrykanci łódzcy zdobywać te wyniki, o jakich nie śmieli nawet marzyć fabrykanci moskiewscy. Fabrykanci łódzcy stali się awangardą imperializmu carskiego.

Na tle tej współpracy doszła do skutku budowa linii kolejowej Łódź — Kalisz — linią bawełnianej. Przemysł Scheiblerów, Grohmanów i Biedermanów otrzymał linię kolejową, która miała obniżyć jeszcze więcej jego koszty produkcji i ułatwić mu na rynkach Dalekiego Wschodu konkurencję z republiką i liberalnie nastawionymi kupcami moskiewskimi. To był godny prezent carów dla ich lojalnych sprzymierzeńców.

Lecz pozostawał drugi surowiec — bawełna. Ten drugi surowiec przychodził do Moskwy drogą morską przez Petersburg, a do Łodzi — z Bremy. W obu wypadkach odległość lądowa, odgrywająca główną rolę w kosztach transportu — była jednakowa. Lecz z Bremy do Łodzi nie było prostej linii kolejowej. Droga prowadziła okólnie: przez Poznań i Warszawę. Dla skrócenia tej drogi, dla uniknięcia dłuższego łuku Poznań — Warszawa — Łódź, została wybudowana linia kolejowa z Łodzi do Kalisza, związana z kolejami niemieckimi. To skrócenie drogi odbiło się na zmniejszenie kosztów transportu bawełny, uczyniło przemysł łódzki jeszcze zdolniejszym do konkurencji i wprowadziło go na drogi współzawodniczenia z awanturczą wschodnią polityką caratu (Mandzuria, Chiny, Afganistan, Persja). Otworzyły się nowe rynki. Powstała nowa koniunktura. Nastąpił nowy krok w rozwoju produkcji i budowie nowych fabryk. W pierwszym dziesięcioleciu XX w. powstaje w Łodzi szereg nowych zakładów przemysłowych.

Następuje nowy rozkwit Łodzi. Liczba ludności wzrasta z 350 na 500 tysięcy. Ta cała nowa masa ludzi znalazła pracę w rozszerzonych starych i wybudowanych nowych fabrykach. Nowe fabryki powstają w związku ze stacją towarową na linii Kaliskiej — i w jej najbliższym sąsiedztwie — by zmniejszyć koszt transportu kolejowego. W oparciu o stację towarową powstaje całe skupisko fabryk w zachodniej dzielnicy Łodzi. Natomiast ludność świeżo przybyła do Łodzi osiedla się przeważnie w jej dzielnicach wschodnich.



BUDOWNICTWO EPOKI SANACYJNEJ

W epoce sanacyjnej zasadniczo nie powstawały żadne nowe zakłady przemysłowe. Rynki wschodnie odpadły, a na rynkach zachodnich i południowych trudno było przemysłowi łódzkiemu wytrzymać zwycięską konkurencję przemysłów wyżej zorganizowanych.

Wkrótce nastąpił kryzys światowy lat 1929 — 1933, bezrobocie, ucieczka kapitałów i produkcji do Ameryki — warunki nie sprzyjające powstawaniu nowych fabryk. Odwrotnie — nawet istniejące fabryki ograniczały swoją produkcję, zadłużały się, bankrutowały lub otrzymywały zarządy komisaryczne i przymusowe.

Rozwinęło się natomiast budownictwo mieszkaniowe, oparte o kredyty państwowe. Częściowo było to budownictwo prywatne (zabudowanie posiadanych działek małymi domkami), częściowo budownictwo tzw. „społeczne” (budujące całe zespoły, osiedla i kolonie mieszkaniowe).

Zdawałoby się, że ta wzmocniona troska rządowych sfer sanacyjnych, że ta stosunkowo znaczna akcja popierania wszelkich typów budownictwa — może zaspokoić powojenny głód mieszkaniowy i naprawić braki urbanistycznego ukształtowania Łodzi. Gdyby stworzono odpowiedni plan rozbudowy Łodzi, kierowany przez interes społeczny, przez świadomość istniejących braków, gdyby przez stopniową przebudowę zmieniono charakter istniejących dzielnic, a dzielnicom nowym nadano właściwy charakter społeczno-funkcjonalny — wówczas akcja ta po pewnym czasie zmieniłaby charakter miasta i usunęłaby chociaż najbardziej rażące braki.

W tak pomyślanym planie należałoby u-

względnie należyte rozmieszczenie i przeniesienie fabryk, wzajemne ustosunkowanie dzielnic mieszkaniowych i dzielnic fabrycznych, stworzenie pomiędzy nimi pasów ochronnych zieleni i drzew, wyznaczenie właściwego stosunku terenów zabudowanych i pustych, wzięcie pod uwagę kierunku wiatrów i ciągnących się dymów itp.

Tego jednak półfascystowski reżim sanacyjny uczynić nie mógł. Nie leżało to w jego celach. Całe to nastawienie „społeczne” było społecznym tylko w pozorów i formy. Istotną treścią faszyzmu jest opanowanie aparatu państwowego przez grupy kapitału finansowego i wykorzystanie tego aparatu w interesie wymienionych grup. W danym wypadku chodziło o stworzenie rynku dla gałęzi przemysłu, związanych z ruchem budowlanym. Udzielając kredytów państwowych (z pieniędzy podatkowych), rząd jednocześnie uruchamiał, wprowadzał w obieg ukryte zasoby i oszczędności tych, którzy przystępowali do budowy. Otóż uruchomienie jak największych zasobów, stworzenie jak największego zapotrzebowania na produkcję związaną z budownictwem, zapewnienie największego dochodu kartelom i trustom przemysłu budowlanego — było w danym wypadku celem dążeń. Nie społeczna jakość wykonanych budowli, nie interes społeczny, lecz jak największa ilość i jak największy dochód kartelom cementu, żelaza itp. Tym tłumaczy się brak określonych planów społeczno-urbanistycznych i odwoływanie się do każdej dziłkiej i chaotycznej inicjatywy budowlanej.

Budownictwo epoki sanacyjnej było oparte o interes posiadacza terenów budowlanych. Rentowność parceli, wyciągnięcie z niej największego osiągalnego zysku — oto było główne kryterium zabudowy.

W ten sposób dookoła Łodzi powstał cały szeroki pas domków, osiedli, kolonii mieszkaniowych itp. — bez względu na przydatność terenów, na kierunek wiatrów, na położenie sąsiednich fabryk, na podmokłość gruntu itp. Zamiast celowej i zwartej zabudowy terenów lepszych — i wykorzystania pod zieleńce i parki terenów nie nadających się do zabudowy — zabudowano wszędzie równomiernie jednakową gmatwaniną drobnych parceled, małych ogródków, domków niedociągniętych do współczesnej techniki budowlanej, drobnych śmietników. Zmarnowano w ten sposób wiele kilometrów kwadratowych, które (należycie wykorzystane) dałyby zdrowie, higienę i wyższy kulturalnie poziom życia dziesiątkom tysięcy ludzi, zmarnowano olbrzymie tereny budowlane, zmarnowano olbrzymie środki finansowe.

Nawet organizacyjnie wyższe „społeczne” budownictwo osiedli mieszkaniowych nie zawsze odpowiadało wymaganiom. Tylko osiedle miejskie im. Montwiłła-Mireckiego zostało należycie wybudowane i umieszczone na właściwym terenie. Natomiast:

- a) osiedle na Karolewie (tzw. domki biskupie) zostało wybudowane na terenie podmokłym, co wpływa na reumatyzm i gruźlicę mieszkańców, b) osiedle przy ul. Narutowicza zostało umieszczone na wschód od tak potężnych zbiorników dymu, jak elektrownia i Dworzec Fabryczny. Wiatry wiejące od zachodu roztańczają piaszcz tych dymów nad wymienionym osiedlem, co nie jest korzystne dla zdrowia mieszkańców, c) osiedle skarbowców na Julianowie zostało położone na wschód od ulicy Zgierskiej bez jakiegokolwiek zabezpieczenia się od wypadku, że przy tej ulicy powstaną fabryki, i ich dym zatrąże powietrze nad osiedlem, d) osiedle Ubezpieczeń Społecznych na Chojnach zostało wybudowane wśród otoczenia drobnych domów. Gdyby kiedykolwiek, prawem rentowności terenów powstały tu fabryki — ich dym szedłby w kierunku na osiedle. Żaden pas zieleni i drzew nie został przewidziany. Żadnej ochrony.

SYTUACJA OBECNA

Łódź, jaką my teraz widzimy, powstała w wyniku sprzeczności rozwoju kapitalistycznego. Jej każda dzielnica, każdy wycinek przestrzenny jest ukształtowanym w zegle i drzewie wyrazem tych sprzeczności. Ołbrzymia ilość pracy włożona przez jej ludność — w wyniku swym została skierowana przeciwko niej samej. Tak powstała Łódź, miasto sprzeczności pomiędzy bogactwem, jakim ona wytworzyła — a urąganiem z normalnych warunków mieszkaniowych, miasto, które w każdym okresie swego rozwoju budowało właśnie to i właśnie tak, jak tego czynić nie należało.

Tak powstały Bałuty, dzielnica potwornej nędzy mieszkaniowej, omijająca przepisów budowlanych i drobnicowego, drapieżnego wyżysku — obecnie, w wyniku wojny, zniszczona.

Tak powstał chaos budowlany śródmieścia, gdzie luksusowe domy sąsiadują z dymięciami kominami fabryk.

Tak powstał chaos komunikacyjny dzielnic, odciętych bocznicami kolejowymi od reszty miasta.

Tak powstał brak zieleni w dzielnicach przedulicznych i przepelnionych zabudowaniami, „rentownie” kalkulującymi każdy metr powierzchni gruntu.

Tak powstało około 120 kominów fabrycznych w okolicach stacji Fabrycznej i stacji Kaliskiej — doszczętnie zadymiających miasto przy sprzyjającym wietrze zachodnim, wiejącym podczas 10 miesięcy w roku.

Tak powstała bezplanowa, chaotyczna i rozrzutna zabudowa terenów peryferyjnych — nie na poziomie współczesnej wiedzy architektonicznej i współczesnej techniki budowlanej — lecz na podobieństwo jakichś tymczasowych kłitek.

W wyniku tego wszystkiego Łódź stanowi teren wielu kilometrów kwadratowych, gdzie w każdym okresie rozwoju tworzone

to wszystko, co może uniemożliwić zamieszkanie jej przez mieszkańców.

Co należy uczynić? Dialektyka materialistyczna daje ogólną odpowiedź:

Każda następna sytuacja wynika ze wszystkich składników poprzedniej, lecz jest jej dialektycznym zaprzeczeniem. Tworząc nową Łódź, musimy się oprzeć o tę metodę rozwoju dialektycznego.

Jakie są składniki rozwoju poprzedniego? Są to cenne maszyny, zapas wiedzy, chęć tworzenia ujarzmiana dotąd przez stosunki własności prywatnej — są to setki tysięcy rąk zdolnych do pracy i przez swoją codzienną pracę wytwarzających bogactwa.

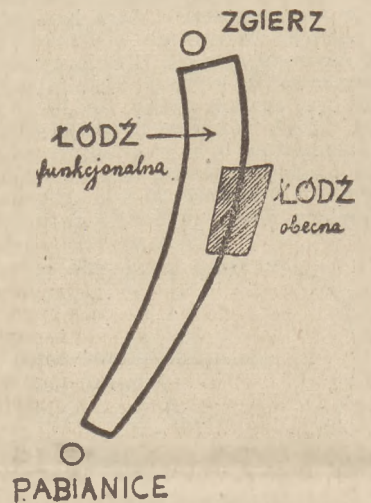
Tą dialektyczną zmienną warunków historycznych, jaka zdecydowała o powstaniu nowej Łodzi, jest zanik prawa sprzeczności rozwoju. Z chwilą gdy społecznie wykonywana praca przestaje być narzędziem ujarzmienia jej wykonawców — otwiera się możliwość planowej budowy nowej Łodzi — Łodzi funkcjonalnej, Łodzi, która służy jej mieszkańcom.

W tym konglomeracie, jaki stanowi Łódź współczesna, Łódź, jaką odziedziczyliśmy po epokach poprzednich — należy rozróżnić, co stanowi trwały wynik rozwoju poprzedniego, a co — dialektycznie zmienną cechą, przemijającą, związaną z minionymi okresami i podlegającą zaprzeczeniu w okresie obecnym.

Tymi stałymi składnikami, narastającymi w ciągu całego rozwoju dotychczasowego są: ludzie, maszyny i praca — realne siły produkcyjne.

Otóż w oparciu o te realne siły produkcyjne należy zbudować Łódź nie ujarzmienia kapitalistycznego, lecz Łódź, wyzwalającą człowieka i jego siły produkcyjne. Łódź, zbudowaną na nowym planie i opartą o nowe zasady urbanistyczne — Łódź funkcjonalną*).

Tereniem, na jakim się rozwinie jej przyszłe budownictwo, byłby szeroki pas przestrzeni pomiędzy Pabianicami a Zgierzem. Pas, gęsto związany siecią komunikacyjną i uzbrojony we wszelkie instalacje techniczne, higieniczne, energetyczne itp.

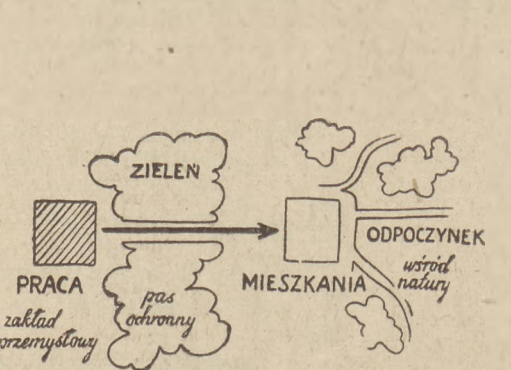


W związku z likwidacją drobnych zakładów i łączeniem drobnych fabryk w duże zakłady przemysłowe powstaje możność ściśle planowania terenowego i uzgodnienia planów budownictwa przemysłowego z planami budownictwa mieszkaniowego. Każda przewidziana ilość pracujących może być zaopatrzona w zgóry zaplanowaną ilość mieszkań.

Na dużych niezabudowanych, wolnych przestrzeniach pomiędzy Pabianicami a Zgierzem należy budować nowe kombinaty przemysłowe związane z odpowiadającymi im osiedlami mieszkaniowymi — otóż otoczone zieleńią, oświetlane słońcem i owiewane wiatrem, wiejącym z pół osiedla na najwyższym poziomie wiedzy architektonicznej, osiedla godne człowieka z epoki gospodarki planowej — a nie chałupinki i nie koszary Scheiblerów i Poznańskich.

Nie przebudowywać miasta przeciążonego sprzecznościami rozwoju kapitalistycznego, nie dodawać nowych budynków do już istniejących, nie wstracać w urbanistykę, wyrosłą z celów ujarzmienia człowieka przez człowieka — lecz tworzyć nowy plan urbanistyczny — plan gętki i elastyczny, wynikający z wymagań pracy i życia żywego człowieka, który zasługuje na to, by mógł żyć i pracować.

W tym gętkim planie miasto nie byłoby terenem ciągłym, nie byłoby mechanicznym zbiorowiskiem rentujących się parceli — lecz żywym organizmem, wywodzącym się z funkcji pełnionych przez człowieka — z jego pracy, z jego odpoczynku, z jego zdrowia.



Pas takich osiedli, przedzielonych żywą naturą — stanowiłby organizm przyszłego miasta. Pas osiedli, mocno związanych ze sobą wszelkimi środkami komunikacyjnymi. Pas osiedli, łączących najwyższą technikę z bezpośrednio dostępną, nienaruszoną, żywą naturą.

Władysław Strzemiński

* Mój artykuł „Łódź funkcjonalna” w „Mysi Współczesnej”.

Maciej Koliba

NOWE KRAJOZNAWSTWO

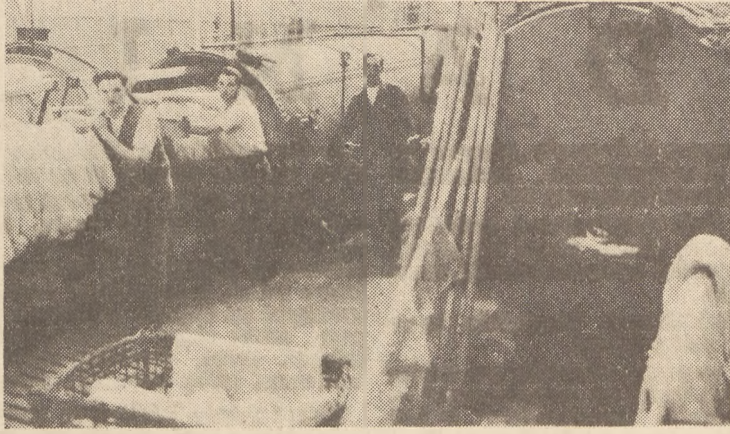
Centralny Zarząd Przemysłu Włókienniczego zorganizował przed otwarciem Wystawy Ziem Odzyskanych cenną w założeniu imprezę. Zaprosił mianowicie dziennikarzy krajowych i zagranicznych do uczestnictwa w wycieczce, której zasadniczym celem miało być pokazanie przemysłu włókienniczego na Ziemiach Odzyskanych. Wycieczka trwała około dwunastu dni. Pod względem tak zwanych usług — komfortowy autokar, staranna opieka nad uczestnikami — impreza była zorganizowana poprawnie.

Dziennikarzom kilkudniowy wspólny pobyt dał niewątpliwie dużo — nawiązanie kontaktów, wymiana poglądów, dzielenie się obserwacjami. Ta forma towarzyskiego zbliżenia ludzi określonego zawodu jest na pewno zapładniająca. Jest to jednak sprawa peryfikeryczna. Problemem istotnym jest owocność samej imprezy w konsekwencjach pisańskich, w tym, jakie z kolei uczestnicy zdadzą relacje z tego co oglądali. Zostali powołani przez państwo do obejrzenia zakładów przemysłowych, nie było to towarzyskie, nie-obowiązujące zaproszenie. Tego rodzaju przedsięwzięcie kosztuje duże pieniądze. Chodzi o to, żeby te pieniądze się dobrze zamortyzowały.

Wydaje mi się celowe zastanowić się nad tym, czy wszystkie warunki były spełnione, które by pozwoliły uczestnikom wycieczki w pełni się „wypłacić”. Sprawa warta jest przedyskutowania. Sądzę, że ten typ „krajoznawstwa” powinien być uprawiany. Pisarz powinien mieć pełne widzenie procesu odbudowy i rozbudowy naszego przemysłu — bazy gwarantującej narodowi ludzkie warunki bytu, bazy warunkującej społeczeństwu wzrost kulturalny. Oczekujemy dalszych zaproszeń od Przemysłu Hutniczego i Metalowego, od Zjednoczeń Węglowych od Ministerstwa Rolnictwa.

Chciałoby o to, ażeby tego rodzaju imprezy były tak pomyślane, by dały się w pełni zutilizować przez tych, dla których są robione.

Od wycieczki dzieli mnie miesiąc czasu, mam więc wobec niej dostateczny dystans, oglądałem również jej owoce, przeglądając kilkanaście reportaży, robionych przez uczestników „na gorąco”. Spośród tego mnóstwa materiału dużą niewątpliwie wartość miały wypowiedzi literatów. (Było ich stanowczo za mało). Jak dotąd poznałem reportaże Ryszarda Matuszewskiego w „Kuznicy” i Stefana Kisielewskiego w „Tygodniku Powszechnym”. Pierwszy jest próbą spojżenia na przemysł oczami humanisty, drugi interesująca, przekorna (z założenia) gawęda w stylu „liberala” Kisielewskiego, gawędą zbliżającą jednak czytelnika do problematyki Ziem Odzyskanych. Reszta materiału, który przejrzałem to typowa reporterka dziennikarska. Artykułki mają swój określony schemat, można by zawrzeć go w kilku punktach,



Państw. Zakł. Przem. Włn. nr. 22 w Stąbłowicach, k/Wrocławia. Parownia przędzy

wszyscy zresztą dostatecznie dobrze ten typ „pisarstwa” znamy.

Dla czytelnika to jest „Bogiem a prawdą” niestrawne, nie potrafi go zemocjonować, nie potrafi go wciągnąć w sprawę. Poza reportażem dziennikarskim czytelnik nie widzi, nie czuje samej rzeczywistości, którą ma mu się przedstawić, po prostu przestaje w nią wierzyć.

Czy to jest problem ziej techniki pisarskiej, czy czegoś więcej? Wydaje mi się, że sprawa leży w czymś innym. Nasze dziennikarstwo na ogół nie ma zbyt dobrych tradycji, zwłaszcza w sferze, o której tu mowa. Wiąże się to zresztą ze złą tradycją w ogóle — historycznym braku zainteresowań dla problemów gospodarczych, dla zagadnień techniki, dla spraw procesów cywilizacyjnych.

Właśnie ten brak tradycji sprawia, że nasi dziennikarze nie mają właściwych narzędzi, nie mają języka, którym potrafiliby dać czytelnikowi wizję, a równocześnie prawidłowo wypunktowaną wiedzę o przedmiocie.

Tu powracam do sprawy. Żeby móc pisać dobrze o przemyśle włókienniczym, trzeba znać grunt — nie sam problem. Zapoznanie się z problemem, w braku jakichś prawidłowych studiów, może doskonale moim zdaniem się spełnić właśnie przez formę wycieczek, w czasie których prócz pejzaży (można prywatnie) uczestnik zdobywa ogląd warsztatów produkcyjnych wszelkiego typu, ale i coś więcej — wycieczka jest dla niego pewnego rodzaju seminarium, na którym w granicach, oczywiście, możliwości zdobywa metodą skrótową dostateczną wiedzę o całym splocie zagadnień, które składają się na wyczerpujący obraz oglądanej gałęzi przemysłu.

Jak to technicznie wykonać?

Sprawą ważną są uczestnicy. Należałoby tu uniknąć momentu przypadkowości. Biuro wycieczki powinno na długo przed samą imprezą ustalić w porozumieniu z redakcjami listę kandydatów. Byłoby wskazane zaprosić

literatów, którzy grawitują ku piśarstwu reportażowemu, a także tych, którym problemy gospodarcze i społeczne są bliskie ze względu na zakres pracy twórczej. Kandydaci powinni mieć wcześniej dostarczony materiał, orientujący o potencjale danej gałęzi przemysłu, o jego udziale w ogólnej gospodarce narodowej, naprasza się tutaj do przestudiowania sprawa konsumpcji wewnętrznej i możliwości eksportowych, produkowanego w danej branży towaru. Kwestia następna to narzędzia produkcji i najważniejsze — człowiek, robotnik funkcjonujący w nowym ustroju. Tak przygotowany kandydat będzie oglądał taki czy inny przemysł, już w pewnym systemie. Pozwoli mu to koncentrować uwagę na sprawach specjalnie mu bliskich. Powinno tu być oczywista jakieś sensowne rozszczenie zainteresowań. Bo poco nam później pięćdziesiąt identycznych reprodukcji. Pracę obserwacyjną należałoby tu precyzyjniej rozłożyć.

Sama już wycieczka byłaby ilustracją, przykładem; ogląd dostarczyłby emocji wizualnych, uzupełniających poznanie teoretyczne. Suma dwóch ciągów: intelektualnego i „postrzeżeniowego”, stworzyłaby dla uczestników wycieczki dostatecznie silne bodźce, w następstwie których mogły powstać tak dobre reportaże, jak dobrą jest praca robotnika i inżyniera. Gdy te warunki nie zostaną spełnione, dziennikarze w porównaniu z ludźmi przemysłu będą tylko dyletantami, ich wytwory nie spełnią wcale tej roli, jakiej się od nich oczekuje.

Powiedziałem, że wycieczka powinna być swojego rodzaju seminarium. Uczestnicy wycieczki jak zaobserwowałem to na ogół ludzie młodzi, ludzie dobrej woli i entuzjazmu. Te propozycje przyjęliby na pewno bardzo dobrze. Dwadzieścia dni poświęconych jednemu zagadnieniu, to nie jest mało. Można się kolosalnie dużo nauczyć, można się poważnie uzbroić do dalszej pracy zawodowej. Otóż co

tu można by wprowadzić. Wycieczka, w której brało udział około pięćdziesięciu dziennikarzy i literatów, powinna mieć dwóch dobrych specjalistów od danej gałęzi przemysłu, specjalistów z dużymi zdolnościami dydaktycznymi. Ci mogliby się posłużyć formą naukowej gawędy. Nie mogłaby to być „męcząca pła” ale właśnie gawęda, anegdota, fachowa „causerie”. Uprawiają to świetnie Francuzi. Do tego rodzaju rozmów „fachowionych” okazji w ciągu trwania wycieczki byłoby mnóstwo. Uczestnicy przekształciliby się wówczas w określoną „grupę społeczną”. Ich zaangażowanie w sprawę byłoby o wiele silniejsze, ich sfamiliiaryzowanie z problemem daleko posunięte. Takie „ustawienie” dziennikarza — wycieczkowicza pozwoliłoby mu inaczej już oglądać i sam proces produkcji (a są to sprawy bardzo skomplikowane, patrz: artykuł R. Matuszewskiego „Kuznica” Nr 30).

Pozostaje problem człowieka. Oglądaliśmy domy kultury, żłobki, ambulatoria, teatry świetlicowe, robotnika przy maszynach. Zbliżyć się do robotnika nie mieliśmy okazji. Były uroczyste powitania przez dyrekcję czy przez tak zwane „czynniki lokalne”, były obiady, kolacje uroczyste, na których nie było braci robotniczej. Jasne, że trudno ludzi odrywać od warsztatów pracy, ale jakżeż można pisać o robotniku, gdy się nie zadzierżnie z nim jakichś serdeczniejszych, towarzyskich nawiązań. W stołówkach fabrycznych siadaliśmy do stołu, przy którym nie było gospodarza. Można byłoby, chociażby kilkunastu przodowników pracy posadzić z dziennikarzami przy obiedzie czy kolacji. Należałoby to się chyba obu stronom. Uczestnicy wycieczki zafatwaliby to własnym sposobem. Szybko przebiegając przez hale, przyciskali „do muru” to tego, to owego z pracowników, rzucając często w pośpiechu kłopotliwe dla robotnika takie czy inne pytanie w stylu: „ile pan zarabia, jak się pan czuje” itd. Dziennikarz powinien mieć wiedzę, ile robotnik zarabia i dlaczego właśnie tyle zarabia. W rozmowach, prowadzonych swobodnie, właśnie w jakiejś serdeczniejszej atmosferze można by wyjaśnić sobie cały szereg tak zwanych „drażliwych spraw”. To byłoby zadanie dziennikarza. Robotnik w masie swojej przechodzi dziś zasadniczą ewolucję, musi on dokonać trudnej przebudowy wewnętrznej, niech by chociaż w drobnym ułamku, dopomógł mu do tego te przelotne kontakty ze światem ludzi, którzy z racji swojej funkcji społecznej obowiązani są z nim w tej strefie współpracować.

Wypowiedź swoją traktuję jako głos dyskusyjny. Sprawa wydaje mi się na tyle ważna, że właśnie pisarz ciągle nie nadaje w swojej funkcji. Gdyby odważyć to, co na Ziemiach Odzyskanych zrobił polski robotnik i inżynier z literackim i dziennikarskim pokwitowaniem tego przez ludzi pióra, wówczas dysproporcja dla pracowników kultury byłaby żenująca.

Władysław Blachut

Z szlachtą polską polski lud

PRZERZUCAJĄC w gościnnych murach Biblioteki Jagiellońskiej poźółkie ze starości karty czasopism dzielnicowych z 1848 r., natknąłem się w poznańskiej „Gazecie Polskiej” Nr. 32 z dnia 29 kwietnia 1848 r. na niezwykle ciekawą i charakterystyczną relację wieśniaków galicyjskich, wysłanych w deputacji stanów galicyjskich do cesarza w Wiedniu w sprawach związanych ze zniesieniem powinności pańszczyżnianych. Jest to: „sprawozdanie Wojciecha Boniur z Rzędzina i Stanisława Mielaka ze Skrzyszowa, gospodarzy ziemskich obwodu tarnowskiego, deputowanych z innymi obywatelami z tej części Małopolski, którą dziś Galicyę zowią, przybyłych do Wiednia dnia 27 Marca 1848 r., w poniedziałek, w celu narad o wolności swych ziomków”.

A oto treść sprawozdania w interesujących nas dziś wyjątkach:

„Kochani a mili nam Bracia! Ziomkowie! Jeżeli kiedy to przez przekonaliśmy się, że Panowie nasi szczerze nam chcą i dobrze żyć a po poczciwemu. Widzieliśmy ich bowiem jak radzili w kole o dobru naszym, naszych żon i dzieci, naszego gospodarstwa i naszej doli na przyszłość. Ażebyśmy zaś o tem przekonali Was opowiedzieć tu, cośmy słyszeli i sami widzieli w Wiedniu przez te dni, bo byliśmy przytomni ich naradom wszystkim, i sami do nich należeliśmy, i bez nas nie było uradzone na cośmy własnie nie patrzyli oczyma, i własnie nie słyszeli uszema.

Rzecz zaś cała miała się tu tak:

Przyjechaliśmy tu najprzód koleją żelazną do Wiednia to jest wozem takim, którego żaden koń, ani też dobytek jaki inny nie ciągnie, tylko para, a to haniebnie że aż piszczy jakby lacyper jaki... Przyjechaliśmy tedy tam do Wiednia, onego wielkiego miasta w poniedziałek to jest 27 Marca 1848 r., a wszędy swar! — nieśmy nie rozumieli. Pytamy się panów naszych: „co to jest?” — a oni odpowiadają nam: „Ha! bo to nie Polska ale Niemcy; nie umieją po polsku rozmówić się z człowiekiem jak to u nas cośmy to wszyscy Polacy”.

Potem pojechaliśmy fiakrami do miasta. Jednym fiakrem jechało Xiążę nasze Sanguszkow, a my za nim z Panami Hussakowskim, Palestrem, wójtem żydowskim z Tarnowa, i lokajem Xięcia, stanęliśmy tam, gdzie Pan Machalski nie mieszkał i tam czekaliśmy wraz aż do czwartku pół; panowie ze Lwowa tu nie przyjechali do nas.

Jak przyjechali, czekaliśmy tak aż do poniedziałku drugiego, to jest do 3 kwietnia. W ten tedy poniedziałek, zeszliśmy się na salę wszyscy kędymy obradowali ciągle od rana do południa, a często i do nocy późnej; i byliśmy przez cztery sesje tak, i siyszelliśmy wszystko jak panowie nastawali; na to i przystawali, ażeby do Cesarza to podane było. I czytali nam wszystko i podpisywaliśmy się na to, żeby pańszczyżny i danin nie było i dziękowaliśmy panom za to w imieniu gromad naszych, jako deputowani od wszystkich, bo było dziękować za co. Otóż na tem jno stoi; teraz jeszcze, aby Cesarz polecił panom opuścić urbaryalny, który opłacają dziedzice od pańszczyżny i od wszelkich danin, cośmy im dawali. Ot-że teraz panowie darują nam wszelką pańszczyżną i daniny.

A gdyśmy tak uradzili to z panami wraz, i podpisał też z nimi do Cesarza podanie to, takeśmy zaraz też na drugi dzień po świętym Wincentym, to jest dnia 6 kwietnia we czwartek poszli wszyscy do Cesarza — panowie nasi, mieszczenie, żydy i ci wszyscy, co z nami byli, i my też w kerezykach krakowskich cośmy je tu przywieźli z sobą, trzymając się z panami pod ręce. Ja, Wojciech Boniur z jednym panem z Krakowa po polsku ubranym w kontuszku, a Stanisław Mielak znowu z panem Pieniążkiem po polsku ubranym też. Xięza też Dobrodziejcy byli z nami, biskup przemyski na samym przodzie. I tak szliśmy przez miasto aż do zamku cesarskiego, kiedy miasto całe witało nas straszczenną okrzykami radości! i dziwiło się cudnym strojom polskim.

Przybywszy do pałacu Cesarza weszliśmy na pokoje złociste, kiedy wielu panów z gwary cesarskiej przyjmowało nas. Stanisław Mielak pozostał w przedpokojach wraz z innymi panami, a nas dwónastu, to jest z każ-

dego stanu jeden wpuszczeni byliśmy do Cesarza.

Ja, Wojciech Boniur wraz z panami Deputowanymi wszedłem do Cesarza też. Cesarz miał spodnie jak generał — frak siwy, miał gwiazdę na piersiach ze czterema guzami świecącymi złotem. Pod szyją miał spinki miał baranka złotego — faworyty siwe, włosy pięknie umuskane siwawe — oczy siwe — na twarzy niby obrzmiały, wzrostu małego. Xiążę Lubomirski Jerzy czytał mu od nas podanie; bo cesarz się domagał tego. Dopiero wziął karteczkę od ministra swojego i przeczytał nam w głos to co było napisane. Potem odbał podanie nasze od Xięcia Lubomirskiego i ukłonił się nam do trzech razy a my wzajemnie do kilkunastu razy jemu, i wyszliśmy stamtąd. Na karteczkę tej co Cesarz czytał nam było po niemiecku to co w języku polskim wyklada się tak: Przyjmuję jak najżywiej próby deputowanych naszych galicyjskich i rozkazuje, ażeby wszystkie życzenia ich były natychmiast pod rozwagę wzięte, a o ile to dobro kraju mają na celu, ażeby były jak najrychlej rozstrzygnięte.

To tłumaczył nam Biskup i Xiążę Lubomirski Jerzy i każdy co umję po niemiecku powie Wam to samo. Słyszano nas wszystkich dwónastu cośmy przed Cesarzem byli, przeto też i każdemu z Was, Bracia! Ziomkowie! i Gospodarze nasi! do wiadomości Waszej tu sumiennie podajemy, ażeby nikt z nas żadnych fałszywych mów, co to braci z braćmi wicherzą nie słuchał więcej od nikogo; lecz ażebyśmy wiedzieli komu to w Ojczyźnie naszej dobro to winiśmy, i odtąd wszystkim panów naszych co tak Polakami są jak i my, miłością bratnią kochali...

A przed naradami temi wszystkiemi byliśmy w kościele św. Ruprehta w sobotę, kiedy ksiądz jeden nasz po polsku miał kazanie do nas, abyśmy Boga prosili o jedność a błogosławieństwo we wszystkich naradach tych, co tyczą się dobra całego narodu naszego polskiego, który wraz z Wami Gospodarze i Bracia Bogu polecamy tu i na to znakami krzyża świętego podpisyjemy się, bo to prawda wszelką człek powinien żyć. Wiedeń, dnia

8 kwietnia 1848 r., Boniur Wojciech, kmiędz z Rzędzina xxx, Mielak Stanisław, zagrodnik xxx, jako nieumiejących pisać podpisałem Wincenty Smagowski Deputat.“ Następują podpisy 19 świadków.

Z treści tego niezwykle ciekawego dokumentu możemy łatwo zorientować się w atmosferze okresu poprzedzającego bezpośrednio zniesienie pańszczyżny w Galicji. Oto z jednej strony klasa uclemiężonych wlekową niewolą osobistą, gospodarczą i polityczną, chłopów, którzy wynalazek maszyny parowej porównują do Lucyfera z piekła rodem, z drugiej zaś górna warstwa brała szlacheckiej, doskonale zdającej sobie sprawę z idącą przez świat ideą wolności osobistej człowieka i pragnącej na wszelki wypadek zabezpieczyć się przed ekscesami z 1846 r. i zdobyć zaufanie uwłaszczonych przez rząd austriacki chłopów. I gdy ówczesny cenny wieśniak galicyjski na ogół trafnie zdawał sobie sprawę z tego, że ew. wyzwoleńie zawdzięczał będzie cesarzowi, szlachta potrafiła znaleźć od zarania ruchów chłopskich aktywnej ziemi krakowsko-tarnowskiej przedstawicielei chłopskich, którzy stali się rzecznicami jej dobrej — rzekomo — woli i oddania sprawie uwłaszczczenia chłopów. Przebrała tych naiwnych deputatów w krakowskie kierezyje, „oprowadzała po ulicach Wiednia” („Pawiem narodów była i papuga...”) i wprowadziła nawet na salony cesarskie! Po zorientowaniu się w sytuacji sporządziła protokół o swych najlepszym dla chłopów intencjach i kazała go podpisać krzyżkami! naszym nlepiśmiennym delegatom. W ten sposób ci ostatni stali się nieświadomie tarczą ochronną dla interesów szlacheckich i trąbą jerychońską ich więcej niż wątpliwej łaskawości.

A tymczasem wypadki szybko następowały po sobie i niedługo akt łaski (zresztą wyrachowany — „dziel i rządź”) cesarskiej przyjaźni chłopom galicyjskim zniesienie niewolności pańszczyżnianej i pierweże prawa natury politycznej. Jest rzeczą charakterystyczną, że ani jeden z tych dwóch delegatów do Wiednia nie wszedł następnie do parlamentu austriackiego.

„Wohltemperiertes Klavier“ — nie dla Gróca!

W „Dialogu o muzyce“ („Tygodnik Powszechny“ nr. 32 (177), proponuje Kisiel wyjście z upatrywanych sprzeczności pomiędzy społeczną koniecznością upowszechnienia muzyki, a tzw. elitaryzmem muzyki nowoczesnej...

F A K T Y Z D A N I A

nej nauki“, obawa o zachowanie „wyraza“ uniwersytetów, przeciwdziałanie, „wulgaryzowanie“ wiedzy bezinteresownej itp.

Idąc po tej linii socjologicznej spekulacji na muzyce, dojdzie Kisiel, chcielibyśmy, do swoistej koncepcji upowszechnienia, umasowienia muzyki.

Znali ją kiedyś Niemcy. Wyglądało to obrzydliwie, tak mniej więcej.

W niedzielę, w parku miejskim gra orkiestra, najpierw np. wstęp do „Tannhäusera“ — publiczność aprobuje, „wunderschön“. Potem „Post im Walde“ z ukrytym w krzakach korreciście (owo: tra-ta, ta-ta, jakby z najprawdziwszego dyliżansu) — też „wunderschön“.

To Kisielowi najbardziej odpowiada. Tylko, że masy ludowe w Polsce znajdują się na wyższym szczeblu ogłady kulturalnej, niż się to wydaje środowisku „Tygodnika Powszechnego“.

Kurierowskie lewactwo

W wydawanym w Łodzi „Kurierze Popularnym“ (nr 210 (994) w artykule „Musimy iść z postępem“ czytamy co następuje: „Stary samochód po remoncie robi próbę wytrzymałości silnika i rozklekotanej karoserii...“

— Chłop nigdy nie narzeka na robotę—mówi.—Ciężkie warunki bytu ucza go od najmłodszych lat znoju i biedy. Dużo poprawiło się od czasów sanacji, ale uważam, że sama reforma rolna nie usunęła naszych wszystkich kłopotów...

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

- Państwowy Instytut Wydawniczy Stanisław Wyspiański — Wesele str. 316 Lucjan Rudnicki — Stare i nowe, str. 215 J. O. Curwood — Bari, syn szarej wilczycy, str. 243...

— Co myślicie o spółdzielniach produkcyjnych, czy one pomogą chłopom?

— Myśl o takiej spółdzielni zrodziła się we mnie na długo przed wojną. Zastosowanie odpowiedniego płodozmiennu i nawozów sztucznych oraz maszyn rolniczych musi dać lepsze plony, a zmniejszyć ilość pracy...

Nawał roboty przygniata chłopą, pracującego bez sił najemnych. Przecież mogą wyznaczyć pewną ilość godzin na pracę i wykonać ją nowoczesnymi narzędziami...

Oto majstersztyk dziennikarski. Króciutki artykułek, a czego w nim nie ma? Zebuty samochodów, ale za to okazja do sielanki z mlekiem i do stworzenia rodzajowego obrazka...

Normalnie droga do tego stanu prowadzi przez zawziętą i często długo trwającą walkę klasową, przez przebudowę sposobu myślenia, nawyków i w ogóle kultury na wsi...

Jugosławii w relacji Tito. Tam też chłopci gwałtem podobno domagają się spółdzielczej produkcji.

Do diabła z takim „lewactwem“. Niech pan, panie dziennikarzu, przestanie jeździć w pobliżu wsi!

Kp.

Uwaga chorzy!

Czytelnicy i redaktorzy pism tak są zepsuci nadmiarem wiadomości o niezwykłych osiągnięciach w Polsce, że niejednokrotnie w powodni ich nie zwracają należytej uwagi na zjawiska pierwszorzędnej wagi.

Kogóż na przykład z „szarych obywateli“ nie interesuje żywo sprawa upowszechnienia lecznictwa, zwłaszcza zaś udostępnienia kieszeni przeciętnego pracownika pomocy dentystycznej. Toż to w obecnej chwili dla wielu ludzi jeszcze luksus...

LEKARZE I LEKARZE DENTYSTY NA JASNEJ GÓRZE

„Cóż pomoże człowiekowi, jeśli by wszystek świat zyskał, a na duszy swojej szkockę poniesi?“

Tymi słowy rozpoczęła siostra, dr med. Wojno konferencję pielgrzymkową lekarzy i lekarzy dentystów na Jasnej Górze.

W dniu 3 i 4 lipca br., zgromadziło się w Częstochowie około 150 przedstawicieli tych zawodów, na trzeciej powojennej, co roku licniejszej, pielgrzymce lekarskiej.

Uroczyste nabożeństwo przed Cudownym Obrazem celebrował J. E. ks. bkp. Czajka, który po mszy świętej, wygłosił podniosłe, okolicznościowe przemówienie.

W czasie konferencji wygłoszono następujące referaty:

Siostra dr Wojno „Życie wewnętrzne lekarza, a jego praca zawodowa“. Lek, dent. Perliński „Miłość motorem pracy lekarskiej“.

Dominantną przemówień było stwierdzenie konieczności pełnego zajęcia się chorym pod względem duchowym i somatycznym w czasie leczenia, oraz zwrócenie uwagi na poziom moralny lekarza.

„Wieczór Maryjny“ w dniu 3 lipca, prowadzony przez lek. dent. Janinę Cyranową, pozwolił uczestnikom na głębokie przeżycie tematów maryjnych.

Należy przypuszczać, że na owej konferencji (patrz referaty: „Życie wewnętrzne lekarza, a jego praca zawodowa“), „Miłość motorem pracy lekarskiej“ i „Problemy zawodowe lekarza - katolika“ i przemówienia, których dominantą między innymi, była troska o poziom moralny lekarzy)

Na początek choćby tylko tych, dla których „Miłość motorem pracy lekarskiej“ i „Problemy zawodowe lekarza - katolika“ i przemówienia, których dominantą między innymi, była troska o poziom moralny lekarzy)

Na początek choćby tylko tych, dla których „Miłość motorem pracy lekarskiej“ i „Problemy zawodowe lekarza - katolika“ i przemówienia, których dominantą między innymi, była troska o poziom moralny lekarzy)

Na początek choćby tylko tych, dla których „Miłość motorem pracy lekarskiej“ i „Problemy zawodowe lekarza - katolika“ i przemówienia, których dominantą między innymi, była troska o poziom moralny lekarzy)

Na początek choćby tylko tych, dla których „Miłość motorem pracy lekarskiej“ i „Problemy zawodowe lekarza - katolika“ i przemówienia, których dominantą między innymi, była troska o poziom moralny lekarzy)

Na początek choćby tylko tych, dla których „Miłość motorem pracy lekarskiej“ i „Problemy zawodowe lekarza - katolika“ i przemówienia, których dominantą między innymi, była troska o poziom moralny lekarzy)

Na początek choćby tylko tych, dla których „Miłość motorem pracy lekarskiej“ i „Problemy zawodowe lekarza - katolika“ i przemówienia, których dominantą między innymi, była troska o poziom moralny lekarzy)

Na początek choćby tylko tych, dla których „Miłość motorem pracy lekarskiej“ i „Problemy zawodowe lekarza - katolika“ i przemówienia, których dominantą między innymi, była troska o poziom moralny lekarzy)

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98. Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA

Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000,— zł; 1/2 kolumny 30.000,— zł; 1/4 kolumny 15.000,— zł; 1/8 kolumny 8.000,— zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98

Warunki prenumeraty: miesięcznie 60,— zł, kwartalnie 180,— zł, półrocznie 360,— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“ — Łódź, Żwirki 2. D—025534

W OSTATNIM NUMERZE 30—31 (159—160) z dnia 25 lipca — 1 sierpnia 1948 r.

- „Młode pokolenie chłopów“ (w dziesiątą rocznicę); Piotr Chmura — Bóg na lewicy; Mięczyński — Spór o młode pokolenie; Jerzy Miller — Do Andrzeja; Stanisław Cieślak — Plany regionalne; Jan Aleksander Król — Tradycja, ale jaka?; Stefan Czarnowski — Reakcja katolicka w Polsce; Andrzej Braun — Sztafeta w Anglii; Jerzy Falenczak — O włoskich chłopach; Piotr Pięta — W Samopomocy Chłopskiej; Jakub Litwin — Drobnomieszczańskie uspołecznienie; Feliks Peleć — Mój pamiętnik; Anna Kamińska — O poetyczności w poezji; Paulina Czyżowa — Sito dla literatury; Fakty i zdania; Komunikaty; 14 ilustracji; 12 stron.